

Nr 871

DROGA DO SZCZĘŚCIA.

~~BIBLIOTEKA~~
~~URZĘDNIK TOMASZ~~
~~CEKALSKI~~

R. BRINGER.

DROGA DO SZCZĘŚCIA

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO

PRZEZ

STANISŁAWA MIŁKOWSKIEGO.



LWÓW — KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA — 1908.

A-79606



1000173413

Liter 13 d

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

K 1160/56/5979

I.

Małgosia.

Dzisiejszego dnia miałem przykre zajście z naczelnym redaktorem. O bagatelę, drobnostkę, mianowicie, że zapomniałem podać pewną wiadomość, do czego byłem obowiązany jako współpracownik. Wiedziałem, że to mój błąd, że przesiedziałem pół godziny dłużej u Pousseta rozmawiając z kolegami, ale cóż począć, człowiek nie jest doskonałym, i jak mówi poeta: homo sum et nihil humani a me alienum puto.

Otóż, skoro wszedłem do redakcyi przywołał mię redaktor.

— Tego już zanadto, rzekł, oto nowina, której niema w dzienniku naszym.

I pokazał mi wszystkie dzienniki leżące na stole w malowniczym nieporządku.

Opuściłem głowę.

Znowu zaczął:

— Już siódmy raz zdarza się to panu. Pan zrozumiesz, że w tych warunkach...

Nie odpowiedziałem.

Widocznie to go rozgniewało, bo zaczął uderzać pięścią w stół.

— Tak dłużej trwać nie może... nie może... wolę, żebyś pan zaprzestał, rozumie pan, żebyś nas natychmiast pożegnał.

Za najłżejsze ubliżenie byłem gotów na wszystko.

— Bardzo dobrze, opuścę redakcję w tej chwili. Raczysz pan tylko polecić kasyerowi, aby mi zapłacił za trzy miesiące.

Te wyrazy „kasyer“ i „trzy miesiące“ były jakby kroplą oliwy łagodzącej gniew redaktora.

Uspokoił się natychmiast.

— Ależ panie, pan sobie chyba stroisz żarty. Pan nie możesz tak zaraz opuszczać swoich obowiązków.

— Owszem; moje postanowienie jest nieodwołalne. Mam już dosyć tych docinków. Każ mi pan wypłacić, a ja natychmiast odejdę.

Mój spokój rozbroił go. Chwilę pomyślał, a potem rzekł:

— Dobrze panie.

I zawoławszy kasyera rzekł:

— Zechciej pan panu Fraisil wypłacić trzy-miesięczną gażę, gdyż nas opuszcza.

Teraz przekonałem się, że popełniłem głupstwo. Ale była to moja вина i trzeba było milczeć.

Zresztą, po takiej przemowie za skarby świata nie byłbym błagał o zatrzymanie mnie na miejscu.

Posiadałem zbyt wiele miłości własnej i godności osobistej.

Ukloniłem się redaktorowi i wszedłem do redakcyi, aby się pożegnać z kolegami.

— Odjeżdżam.

— Co znowu? zawołali.

— Pan redaktor dał mi urlop.

Wyciągnęli do mnie ręce, które uściśnąłem.

Wziąłem kapelusz, laskę i wyszedłem.

— Będziesz u Pousseta?

— Być może.

Kasyer mi wyliczył 1500 franków biletami bankowymi. Wypełniłem mój pugilares, który nie zawsze miał taką uroczystą chwilę, wyszedłem na ulicę Montrmatre i znalazłem się na chodniku.

— A teraz co mam czynić?

Na razie nie powziąłem żadnej decyzji. Przypomniałem sobie w tej chwili, że na południu mam dzielną kobietę, siostrę, której nie widziałem od lat sześciu — ale życie paryzkie odurza — chociaż prawie co miesiąca otrzymywałem od niej listy:

„Przybywaj! Przybywaj, aby odpocząć! Zobaczysz jak dojrzewają winogrona, jak gałęzie drzew łamią się od owoców.“

I nie namyślając się długo, postanowiłem jechać tam jeszcze tego wieczora, dla przekonania się, czy winogrona dojrzewają i czy tak obficie obrodziły drzewa.

Zapewniam, że byłem najmocniej zdecydowany wyjechać do Mondragon o godzinie pół do dziesiątej.

Ba!

Zapomniałem o Małgosi.

Zaledwie doszedłem do rogu ulicy Drouot, gdy ją spotkałem idącą.

Zobaczywszy mnie, zatrzymała się.

— Szukam właśnie ciebie, rzeczce. Dokąd idziesz!

— Nigdzie. Wyrzucono mię za drzwi z redakcyi, rzekłem.

Małgosia spojrzała na mnie, jak gdyby nie zrozumiała moich wyrazów.

Lecz wkrótce przestrasch odmalował się na jej twarzy i drżącym głosem powtórzyła:

— Wyrzucono cię za drzwi. Dlaczego?

— Za nic. Nie wiem za co. Zapomniałem podać pewną wiadomość.

— Zapomniałeś?

I wnet zaczęła:

— Ty będziesz zawsze taki. Zamiast spijać kawę, bok, absynt, lepiej byś robił pilnując swoich obowiązków. Cóż my teraz pocniemy? Wiesz, że w domu niema ani grosza. Powracam od twego

wydawcy. sprzedaż stoi; twoje piosnki nie przynoszą dochodu. Nie przyjęto twojej opery...

Uspokoilem Małgosię jednem słowem.

— Zapłacono mi za trzy miesiące tysiąc pięćset franków.

Wyrazy te zrobiły wrażenie.

Tysiąc pięćset franków, ładna sumka.

— Tem lepiej. Możesz tedy czekać spokojnie.

I Małgosia wnet nabrała przekonania, że dostanę gdzieindziej miejsce.

Tymczasem ja myślałem:

— Jedźmy, gdzie dojrzewają winogrona.

Ta myśl szczególnie mię opanowała. Chciałem nieco odpocząć, pojechać, widzieć się ze siostrą, pozostać tam dwa lub trzy miesiące niczem się nie zajmując, zdala od interwiewów, boków, absyntu i zdala od Małgorzaty.

Ona nie była mi wcale ciężarem, dzielna to dziewczyna. Od czterech lat, jak jesteśmy razem, nie nudziła mię ani minuty, przeciwnie. Pracowała gorliwie, utrzymywała mieszkanie w porządku. i oszczędzała o ile mogła. To prawda, że te oszczędności szły na jej rachunek. Jednem słowem, owe pięćset franków, które zjadałem sam dawniej, wydawaliśmy oboje na życie.

To dzielna dziewczyna. Przyznać się, że ją bardzo kochałem, byłoby z mojej strony przesadą. Ale się do niej przyzwyczaiłem; stała się dla mnie

pewnym nałogiem i rozstając się z nią, doznałbym takiego uczucia, jak gdybym zmieniał kształt mojego kapelusza, lub krawat, albo zamiast wybor-nych wschodnich papierosów palił papierosy własnej roboty, ze zwykłego tytoniu.

Moja Małgosia była nawet bardzo przyjemna, dwadzieścia trzy lata zaledwie, szatynka, dobrze zbudowana i do tego, jak mówią: szyk! paryżanka duszą i ciałem.

Spotkałem ją jednego wieczora, wychodząc z teatru, u Pousseta. Podobaliśmy się sobie wzajemnie.

Dziś wcale o tem wszystkiem nie myślałem. Miałem tylko jedno pragnienie i jedną ideę, która mi tkwiła w głowie, jak te piosnki kawiarniane, powtarzające się, brzmiące nieustannie w uszach.

To też przy śniadaniu odezwałem się:

— Czy wiesz, ja dzisiejszego wieczora jadę do Mondragon.

Odpowiedziała przeciągłym westchnieniem.

— Jedziesz. O mój Boże! Jedziesz i w jakim celu?

Potem przyszła jej myśl:

— Rozumiem! To tylko komedia. Chcesz mię opuścić. Jedziesz się żenić.

Żenić się. O mój Stwórco! Nigdy nie pomyślałem nic podobne w mojem życiu. Odpowiedziałem jej też szczerze:

— Żenić się! Czyż oszalała. Dlaczego mam szukać gdzieindziej szczęścia, kiedy je mam tutaj w ręku.

I rzeczywiście takie było moje przekonanie. Żenić się się! Po kiego licha? Czy ja nie jestem na pół żonatym? Małgosia jest dobra, słodka i wierna. Bardzo wierna. Trzyma i prowadzi bardzo starannie moje gospodarstwo. Tak mi dobrze, że mógłbym wreszcie żyć w tej myśli, iż poślubiłem młodą dziewczynę bez posagu, córkę jakiegoś dymisyowanego kapitana.

— Ależ nie, nie myślę się wcale żenić. Chcę w Mondragon odwiedzić moją siostrę, oto wszystko. Możesz być zupełnie spokojna. Zostawię ci z tysiąca pięćset franków, tysiąc i powrócę za dwa lub najwyżej trzy miesiące.

Ale Małgosia nic nie słuchała. Rzuciła się na krzesło i zaczęła wzdychać i płakać: O mój Boże! Mój Boże!

Usiadłem przy niej, Wziąłem ją na kolana, uspakajałem, pieściłem, ale ciągle płakała.

To trwało blisko godzinę.

Nareszcie przestała płakać. Powstała, a stanawszy przedemną, głosem, którego nigdy nie zapomniałem, zawołała:

— Słuchaj, jedź, bo jesteś tu panem, ja płacząc będę na ciebie czekała. Przysięgam ci jednak, przysięgam, że skoro się ożenisz, ja sobie odbiorę życie.

Wyszedłem, zrobiłem kilka sprawunków, pożegnałem się z moimi kolegami, odwiedziłem wydawcę, któremu obiecałem przysłać rękopis i o godzinie piątej powróciłem do domu.

Małgosia siedziała na tem samym miejscu, zalewając się łzami.

— No, ubieraj się, pójdziemy na obiad i zjemy go w bufecie kolei. Pociąg odjeżdża dopiero o godzinie 8-mej 25 minut.

Ubrała się, uspokoiła lub też nie chciała płakać w mojej obecności. Tak mi się przynajmniej zdawało.

W powozie przycisnęła się do mnie, złożwszy głowę na moich piersiach. Ucałowałem ją mówiąc:

— Nie płacz. Powrócę wkrótce, kto wie, może się tam znudzę.

Ciągle tuliła się do mnie. Czulem na mem sercu jej szyję białą, jak alabaster; nie płakała, słyszałem jednak mocne, nierówne uderzenie jej serca.

W bufecie jadła z apetytem. Kazałem podać wykwintny obiad, prawdziwy weselny, bom był głodny. Piliśmy wino Bordeaux. Mówiła długo, słodko, przymilająco, ja jednak nie słuchałem, myśl moja krążyła około dojrzewających winogron.

Chciała wiedzieć gdzie usiądę, weszła do wagonu, ułożyła dywanik i poprawiła poduszkę.

Później, kiedy konduktor zażądał opuszczenia wagonu, ucałowaliśmy się, a ona odważnie, nie płacząc, ale głosem bardzo drżącym wyrzekła :

— Nie żegnam cię, dowidzenia i odchodzę, mój przyjacielu.

Odeszła. Uszedłszy dziesięć kroków odwróciła się i widziałem dwie łzy zawieszona na jej rzęsach.

Biedna Małgosia!

.

II

Historya Józi.

Gdy pociąg toczył się szybko w nocy, przypomniała się mi historia biednej Józi.

Czyliż pozycya jej nie była taka sama? Tak samo jak mnie Małgosia odprowadzała Józia swego Jakóba.

— Ty mię będziesz zawsze kochał?

— Zawsze.

— Nie zapomnisz o mnie?

— Nigdy.

I pociąg odjechał i długo, bardzo długo stojąca na peronie młoda dziewczyna odpowiadała pocałunkami ręki na powiewanie chustką Jakóba.

Nakoniec pociąg zniknął, pozostawiając po sobie tylko chmurę niebieskawego dymu.

Dziewczyna wyrzekłszy z westchnieniem: „odjechał“ zwróciła się ku małemu domkowi, w którym zaraz na progu zaciężyła na niej samotność, jak płaszcz z ołowiu.

Biedna Józia! Dwa lata już jak ją opuścił Jakób rysownik, malarz, któremu była wierna jak matka swojemu synowi. Jakkolwiek jednak nie była jego matką, jej to zawdzięcza czem był w rzeczywistości. Podczas jesiennego wieczoru, gdy spotkali się w restauracyi literackiej, gdzie się gromadziły tłumy młodych ludzi, prawdziwa cyganerya, czem był wówczas? Czyliż nie był owem dzieckiem, które wyprowadziła za rękę, wydobyła z tego prawdziwego bagna? Czyliż nie skłoniła go do pracy, zamykając go w swem uścisku miłosnym jak w więzieniu, czyliż nie uczyniła jego życie słodkiem, jasnym, promiennem? Podczas zimowych wieczorów zajmowała się odczytywaniem dzieł znakomitych poetów, on zaś tworzył te fantastyczne obrazy, cudowne jak tradycye ludu, urocze jak opowiadania wróżki — te twory jego wyobraźni rozrywano, dzienniki brzmiały jego chwałą, setki odwiedzały sławnego, ulubionego artystę.

Ona to stworzyła, to jej dzieło, on był jej dumą i szczęściem. Miłość cicha, szczerą, wkrótce zamieniła się w namiętność rozsadzała mu piersi, wyobraźnia tworzyła cuda; dla niej było to niczem

nieopłacona nagroda, było to szczęście, rozkosz matki, uwielbiającej swego syna jako ideał ziemski.

W tym małym domku w Viroflay, do którego go wprowadziła, żyli szczęśliwi. A on, artysta promieniejący sławą, oddał się swemu szczęściu, oddał się sztuce, nie troszcząc się o jutro, pozostawiając jej kłopoty codziennego życia, nie uważając jej za kochankę lecz raczej za siostrę, za towarzyszkę stanowiącą dla niego jedyną istotę, godną czci i miłości.

I to trwało długo, długo, mogłoby trwać wiecznie. Niestety w kraju jego rodzinnym, w wiosce na prowincyi, tęsknili do niego rodzice. Starzeli się, pragnęli ujrzeć swego syna, tego wielkiego człowieka i ucałować go choć raz przed śmiercią. Przychodziły listy, coraz tęskniej przemawiano w nich: przybywaj! przybywaj! Potem prośby te stały się natarczywsze, tak że Józia oburzona objętnością Jakóba, wypowiedziała raz jednego:

— Jedź mój przyjacielu, zabawisz parę tygodni i powrócisz rozpromieniony słońcem, ożywiony wspomnieniami młodości.

I pojechał.

— Ty mię zawsze będziesz kochał, zawołała na odjeździe.

Ach tak, on ją kochać będzie zawsze.



Obecnie jest sama w domku, który nagle wydał się jej tak nadzwyczajnie obszernym, pozostawiona sama sobie, swym myślom, bez żądań jak rekonwalescentka. Samotnia ta przerażała ją. Niezdolna do jakiegokolwiek pracy, opadła jakby wycieńczona na fotel w gabinecie, w którym stół zarzucony był szkicami rozmaitego rodzaju i długo pozostała tak nieruchomą, przypominając sobie dni ubiegłej przeszłości i wyobrażając sobie, że Jakób lada chwila powróci i jak zwykle pozdrowi ją: „dzień dobry Józiu“ stojąc na progu.

Ale pociąg już był daleko i Józia przerwała to rozkoszne marzenie. Powstała, zaczęła chodzić z pokoju do pokoju, nie wiedząc czem ożywić tę grobową prawie samotność, potem powróciła do gabinetu, w którym często przebywała z Jakóbem; zdawało się jej, że go widzi jak pracuje, gdy tymczasem zaczęła przerzucać leżące na stole karty, bilety i listy.

Ot te listy porzucone tak bez porządku, te zaproszenia, te bileciki zamawiające rysunki i szkice i cała ta korespondencya przyjaciół, znajomych i ludzi wielkiego znaczenia! Było to dla niej pewną uciechą czytać owe listy, opiewające sławę rysownika, co było jej niezaprzeczonem dziełem. I miłość jej dla Jakóba coraz się bardziej wzmacniała.

To też w tej samotni rozczytywała się w listach, które dla niej były wspomnieniem rozkosznych dni, dni szczęścia.

Lecz nagle, przy tem przerzucaniu, zwróciła jej uwagę jakaś koperta, już zupełnie poślókła, na której wielkimi literami wypisany był adres. Poznała ją, poznała charakter pisma, to list od powieściopisarza Borisa, dawnego przyjaciela Jakóba, który jak on równie przestał być cyganem; wszystko troje znali się dobrze. Nie przypomina sobie czy ten list czytała, przecież to list nie tak dawny? Ten list ją zaciekawił, zaniepokoił, przeraził jak coś nadzwyczajnego. Jakim sposobem ona go dotąd nie widziała? Dlaczego Jakób nigdy o nim jej nie mówił? on, który dla niej nie miał nic skrytego. Nadzwyczaj zaciekawiona zerwała kopertę.

Lecz w miarę czytania jej ręka zaczęła miąć papier i wreszcie zgniótłszy list, rzuciła go na konsolę.

Było to coś okrutnego, ten list powieściopisarza. Czyliż nie wspominał w nim, że i on poszedł za jego przykładem, opuszczając zakład cyganeryi? Czyliż nie namawiał Jakóba do porzucenia towarzyszyki i ożenienia się z jaką damą, z jaką dziedziczką, któraby zasługiwała na jego szacunek?

Cios ten był zbyt bolesny, tem więcej, że przyjaciela Jakóba uważała za równie sobie życzliwego. I nagle przyszło jej na myśl, co też wówczas my-

ślał Jakób i jak się zachował. Przypominając sobie dzień po dniu, w chwili otrzymania listu Jakób był dla niej jeszcze bardziej uprzedzający, obdarzył ją pieścizotami. a nadto pamięta dobrze jak się odezwał:

— My się nigdy z sobą nie rozstaniemy.

— Nie, Jakób jej nie porzuci choć go do tego namawia Boris. Jakób będzie ją kochał zawsze, czyliż nawet teraz nie pytał jej:

— Będziesz mie kochała zawsze?

Józia uśmiechnęła się.

Lecz jakkolwiek była przeświadczona że Jakób nigdy się z nią nie rozstanie, nagle przyszła jej myśl, która jak gwóźdź powoli wciskała się do jej głowy — mianowicie ożenienie Jakóba.

Przedewszystkiem Boris miał po części słuszność. Wyjaśniał Jakóbowi, że ona wydobyła go z cyganeryi, zrobiła z niego człowieka, czy zatem jej misya nie skończyła się? Co więcej, czyliż nie była przeszkodą do dalszej jego, jeszcze świetniejszej przyszłości? Czyliż nie byłoby bardziej korzystnem dla Jakóba, gdyby ożenił się z jaką panienką godną siebie, któraby go wprowadziła w świat,

w ten świat uświęcający talenta, w ten świat z którego wyłączyła go Józia? Bo świat jest nie-uślągany, nie zna wcale rehabilitacji, nie zapomina o przeszłości, a w Montrmartre pomiętają jeszcze wiele błędów Józi.

Niestety wielka prawda i Boris miał słuszość. Trzeba by Jakób zerwał z nią. Ale w jej sercu krzyczał głos:

— Jakób zbyt szczerze kocha, aby miał zerwać.

Wówczas nagle powzięła stanowczą decyzję. Nie tracąc chwili czasu, obawiając się, aby jej nie zabrakło odwagi, napisała długi list do Borisa, powierzając mu Jakóba, to dziecko geniuszu, które trzeba prowadzić krok za krokiem, z prośbą aby go uczynił szczęśliwym, ponieważ ona nie może już nic uczynić dla niego... skończywszy list, nie zabierając nic z tego domu, w którym pozostawiła szczęście, nie spojrzawszy nawet na nic, aby w ostatniej chwili nie stracić siły woli, wyszła.. Bóg wie dokąd!

Taką była historia, która mi się przypomniała, gdy się pociąg toczył nocą. Opowiedział mi ją przyjaciel Jakóba, pewnego wieczoru w Montrmartre, co uczyniło na mnie wielkie wrażenie.

— Tak jest, ale Małgosia nie jest Józia, sytuacja nie jest ta sama; dla czegoż o tem myśleć, spijmy lepiej!

III

Przybycie.

Po wypaleniu dwóch papierosów i przejrzeniu dziennika wieczornego usnąłem.

Już słońce było wysoko, skoro się przebudziłem niedaleko Lyonu w Saint-Rambet-d'Alban. Moich towarzyszy podróży, których wcale przedtem niezauważyłem, było kilku. W kąciку, siedziała jakaś dama, zapewne młoda, być może piękna, której lekki skrawek szyi widziałem pod zwojem złotych włosów. Ale mię to nie obchodziło i wyszedłem na galeryę dla zapalenia papierosa.

Krajobraz rozścielający się przed mym wzrokiem był uroczy. Południe! Nie widziałem go od lat sześciu i te wzgórza nad Rodanem, te właśnie które budziły w mojem sercu wspomnienia młodości!

Myślałem o Mondragon, o siostrze, którą wkrótce ujrzę, o owocach, łamiących gałęzie drzew, o pięknych, dojrzewających winogronach.

Podskoczyłem!

Walencya!

Mogła być piąta godzina wieczorem, na chodniku wystawione były stoły.

— Czekolada! kawa ze śmietanką! krzyczał garson bufetowy.

Zeszedłem na chwilę i wypilem filiżankę czekolady, która mi się wydawała niedobłą.

Ach Małgosia! Jaką wyborną przyrządziła mi czekoladę! Kto wie, czy tam w Mondragon potrafią mi podać coś podobnego.

Pociąg ruszył.

A krajobraz ciągnął się wzdłuż całej linii kolejowej.

Ale to zawsze jeden i ten sam widok, pola upstrzone kolorem różowym, zielonym, żółtym, obsadzone drzewami, w głębi góry niebieskawe, a u ich stóp Rodan. Potem co 8 lub 10 kilometrów drobne budki, dzwonnica, nieco domków.

Baczność, teraz zbliżamy się do Mondragon, omnibus wnet mię przewiezie.

Pociąg pędzi i teraz rozpoznaję cały kraj. To Mornas, potem Piolenc, następnie Orange, które widać zdaleka.

Nakoniec Avignon.

Wskakuję do omnibusu, który mnie zawiezie do Mondragon.

Oto właśnie droga!

Tam dalej kaplica w Saint-Loup, tu folwark Salomona, a tam Mondragon.

Wyskakuję. Dwa wykrzykniki:

— Maurycy!

— Kamilka!

Ściskamy się, całujemy.

— Mój Boże, jak ty zestarzałeś się. Jak się zmieniła broda.

Masz już nawet siwe włosy na skroniach. Utyłeś. Ach mój biedny Maurycy!

Kiedy siostra wypowiada taki przegląd niekorzystny dla Maurycego, on ze swojej strony bada ją samą.

I ona także się zmieniła. Jest mała, szczupła, w swym szalu czarnym. Mimo to cała postać wydaje się młoda, nawet bardzo młodą. Jakiego też wieku! Prawdopodobnie ma lat 40. Do licha on ma 26.

— Jakże ci się powodzi? Czy nie jesteś czasem chory? Spałeś w pociągu? Jesteś głodny? Czem się zajmujesz? Czy ciągle zbierasz pieniądze?

Potem nagle.

— Ach mój Boże wyszło mi z pamięci. Ale ty niepoznajesz Joasi, Joasi Savin, która tańczyła na twoich kolanach.

I rzeczywiście ujrzałem młodą panienkę, stojącą na boku, gdyśmy się witali.

Młodą dziewczynę? Dziecko, wielkie dziecko tłuste, blond z czarnymi oczami. O te czarne oczy!

— Panno...

Ale moja siostra przerywa.

— Co znowu? Dzieciak jeszcze. Ucałujcie się!

I ucałowałem Joasię.

Mondragon nie zmieniło się. Być może przybyło kilka nowych domów, ale budowanych w tym samym stylu.

Poszliśmy ścieżką.

Oto dawny ojczysty domek, z drzwiami pomalowanymi na zielono, mały ogródek, wielka grusza, oto kurytarz, a po prawej stronie jadalnia. Stół nakryty, siadamy.

Nagle otaczają mnie dwa ramiona. To Paulina, stara sługa. Paulina, która mię kołysała; Paulina, która nie chciała opuścić naszego domu, do którego weszła w 16. roku życia, w dniu moich urodzin. Paulina, która nie chciała wyjść za mąż, aby nas nie opuścić, Paulina, która dopiero oddała się, gdy ją włożyła do trumny.

Uściskała mnie i ucałowała jakby syna.

Z okazji uroczystości, jaką był mój przyjazd, Paulina zasiadła do stołu, jakto bywało podczas Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia i w dzień Zadzuszny. Paulina je przy stole i nam służy. A potrawy są takie jakie ja lubię, a jakich nie jadłem, od czasu gdy jeszcze była młodą dziewczyną. Oulet z cynader, baranina z fasolą, oprócz tego udziec sarni czosnkiem szpikowany, na deser owoce smażone w cieście, na koniec tort z czekolady z kasztanami. Wina zwykle, ale stare.

Jadłem za czterech, co niezmiernie cieszyło moją siostrę i Paulinę. Jadłem, piłem i słuchałem, ponieważ chcąc mówić trzeba myśleć. Pytania padały jak grad, tak że nie pozwalano mi odpowiadać.

— Cóż robisz w Paryżu? Czy ci się bardzo podoba wielkie miasto? A te dzienniki, które wymagają pracy. Czy wiesz, że czytam twoje artykuły, wszystko. Twoje romanse, wiersze umiem prawie na pamięć i komedye. A twój: „Pochlebca“ to pyszne dzieło!

W tej chwili Joanna dotąd milcząca, odezwała się.

— Oto śliczny, ten „Pochlebca“.

— Co, czytałaś go pan... Joasiu?

Joasia nie odpowiedziała, zarumieniona, zauważyłem że jej płeć nadzwyczaj delikatna. Kiedy na nią patrzyłem, spuszczała oczy. Mój Boże, cudowne spojrzenie

Ale moja siostra to zauważyła.

— Joasia jest nieco chora, powierzono mi ją na dwa miesiące.

— Nie wiesz zapewne, że kuzyn Savin kupił fabrykę cegieł nieprzemakalnych. Doskonale mu się wiedzie. Obejrzymy ją którego dnia.

I obiad ciągnął się wesolo.

Podano kawę, piliśmy szartrezę.

— Czy pójdziemy obejrzeć Mondragon? pyta Kamila.

— Chodźmy.

Joanna pozostała w domu do pomocy Paulinie my zaś skierowaliśmy się ku miastu

IV.

Joasia.

Ksiądz Plantin, proboszcz w Mondragon, to dawny przyjaciel naszej rodziny. On to mię chrzczył, on udzielił mi pierwszej komunii.

— To ja cię ożenię! rzekł z śmiechem, gdyśmy rozpamiętywali dawne wspomnienia.

— Księżę proboszczu mówiła Kamilka, pragnęłabym, aby się to urzeczywistniło. Obawiałam się zawsze, że w Paryżu ożeni się z jaką lekkomyślnicą, która sprowadzi mu nieszczęście.

Ksiądz Plantin uśmiechnął się.

Ja nabrałem serca.

— Bądź spokojna. Jeszcze się nie prędko ożenię. Może nawet nie ożenię się nigdy.

— Nie trzeba nigdy mówić, rzekł proboszcz, nie będę pił wody z tej studni. W każdym razie, czy się ożenisz lub nie, pamiętaj, że sięgając zbyt wysoko, paraża się człowiek na złamanie karku. Zawsze lepiej brać to, co jest pod ręką.

Ksiądz się uśmiechnął, uśmiechała się i siostra. Ja się, także uśmiechałem, chociaż nie dorozumiewałem się, co znaczy to zastrzeżenie.

Zaraz potem wyszliśmy od księdza proboszcza.

Chodźmy odwiedzić dalszych znajomych.

— Jacyż to dzielni ludzie! Mój Boże, jacy prawi ludzie. Z sercem na dłoni, ze słowem uczciwym na ustach, a jakaż pamięć, najmniejszą drobnostkę z dawnych czasów pamiętają.

— O panie Maurycy, mówiła mi stara kobieta, pamiętam jak byłeś dzieckiem. Pańska Paulina przyprowadzała pana tutaj, to też wyprawiałeś pan tu figle.

To mi przypomniało, że działo się to w niedzielę i nosiłem jeszcze wówczas sukienkę.

Druga napomknęła, że mię uczyła pływać.

Ślusarz dodał, że sobie sparzył rękę, przybliżywszy się zbyt do jego warsztatu.

O nie, tego sobie nie przypominam. Gdzieżbym mógł pamiętać. Życie płynęło szybko, życie w Paryżu trudne. Ale pamiętam i nie zapomnę nigdy ich przyjęcia, serca, tej pocziwej szczerzej mowy. Człowiek staje się lepszym, idąc za ich radą; widując się z nimi, zapomina się o kłamstwach i złościwości innych.

Uściski ręki, ostatnia dopita szklanka. Skończyły się wizyty. Powracamy do siebie.

Spojrzałem na Kamilkę i ona na mnie spoj-
rzała. Zrozumieliśmy się

Nie, nie skończyły się wizyty. Tam, pod tymi
drzewami, pod kwiatami, w małym kąciuku cmen-
tarza, znajduje się nieznacznym grobowiec, pod któ-
rym spoczywają, śpią snem wiecznym ci, co nie
doczekali się mego przybycia.

Dwa nazwiska tylko. Dwa imiona. Dwie daty.
Ale to imię tak słodkie, tak brzmiące rozkosznie.
Te daty, to najsmutniejsze dni mego życia.

— Biedny ojciec! Biedna matka!

Jakżeby się cieszyli widokiem swego małego
Maurycego. Tego Maurycego, którego wychowali,
tego Maurycego, którego wypielegnowali, tego Mau-
rycego, o którego sławie nie wiedzą.

Bo ten mały Maurycy to sławny człowiek.
Dzienniki chwalą jego talent, publiczność czyta je-
go romanse i brawa sypie jego komedyom na sce-
nie. To wielki człowiek ten Maurycy Fraisil, bardzo
głośno brzmi jego imię, i to imię nie jednemu za-
wraca głowę. Wy nieznaliście tego Maurycego. Ale
bylibyście dumni z niego. Biedny ojciec! Biedna
matka! Jakkolwiek jego laury są jeszcze drobne,
ustroiłyby wasz grób; to wasza byłaby radość, po-
ciecha przedłużająca wasze życie.

W milczeniu, ze smutkiem powróciliśmy do
domu. Paulina wcale o nic nas nie pytała, ale jej

twarz zdradziła, że wie iż byliśmy tam, a Joanna, którą zastaliśmy przy fortepianie, ukradkiem otarła łzy.

— A winogrona, które dojrzewają Kamillo?

— Bardzo nędzne, bo je powódź zatopiła.

Nagle moje myśli wzięły inny kierunek. Była to godzina piąta, myślałem więc że w tej chwili moi przyjaciele są przy absyncie na tarasie kawiarni Pousseta. Słyszałem śmiechy, mowy, drwiny, omawianie nieobecnych. Widziałem grubego Vivat, który zawsze na ustach ma jakie złośliwe słowo, widziałem małego Nicher wiecznie roztrzępanego i wysokiego Anonay eleganta. istotnego muszkietera z dawnych czasów, jednym słowem zdawało się, że tam jestem, gdy tymczasem pod pozorem znużenia dobrowolnie wszystkich opuściłem.

Dla czego udawać? Nudziłem się w tym małym prowincjonalnym salonie. Przykrzyło mi się, nie wiedziałem czem się zająć, co mówić, co opowiadać. Jestem sam z Joanną, tą klasztorną pensyonarką, z którą prowadzić trudno poważniejszą rozmowę. Przeglądałem album, w którym znajdowałem rzeczy mi obce. Przejrzałem kilka książek. Nie mam chęci wdawać się w studia muzyczne. Najpokorniej dziękuję. Zamierzałem usiąść do fortepianu i wygłosić kilka kawalerskich śpiewek, piosnek idiotycznych z koncertu kawiarnianego.

Byłem zdenerwowany, zgnębiony bezczynnością, rozdrażniony i skoro Kamilla mnie zapytała:

— Zabawisz tu zapewne kilka miesięcy?

Byłem gotów odpowiedzieć:

— Nie; zobaczyłem cię, to mi wystarczy; odjadę dzisiejszego wieczora.

Ale nie miałem czasu na odpowiedź, ponieważ mię Joanna zapytała:

— Czy lubisz muzykę, mój kuzynie!

— Tak, ale dobrą, odpowiedziałem dość niegrzecznie.

Natychmiast żałowałem mojej gburowatości i jakby przeczuwając co nastąpi, rzekłem:

— Więc jesteś muzykalną Joasiu, zechciej zatem coś mi zagrać.

Joasia siadła do fortepianu.

Sądząc że zapleśnieję w Mondragon, umieściłem się zachmurzony na fotelu, gotów natychmiast usnąć, bo zapewne usłyszę jakie: »Dzwony klasztorne«, lub »Modlitwę dziewicy«, albo co innego zbyt pospolitego.

Joanna zaczęła.

Nagle podskoczyłem na fotelu.

— Co ci jest kuzynie, czyś chory?

— Co grałaś, Joasiu?

— Ależ grałam: „Uwerturę Tannhäusera“.

— O Joasiu! droga Joasiu! byłbym uściskał tę małą wirtuozkę.

Moja radość równała się mojemu zdumieniu.

— Jakto grasz?...

Nie mogłem dokończyć

Joasia stała w kąciku, bardzo uszczęśliwiona, ale zarazem przekonana że dostałem obłądu.

— Nie przerażaj się rzekłem i pomówmy ze sobą.

— Nie chcesz, abym dalej grała?

— Owszem, ale nie zaraz. Rozmawiajmy. Więc grywasz Wagnera, ty. Joasiu Sawin, urodzona w Orange, lat czternaście.

— Przepraszam siedmnaście.

— Siedmnaście? Jakże czas prędko płynie. Mniejsza o to Jakto, mając lat siedmnaście, grasz już Wagnera?

— Ponieważ go lubię.

— Ależ któż cię tego nauczył?

— Ja sama.

Nawet piorun nie byłby mi tak zeraził, jak ta odpowiedź.

— W jaki sposób?

— Czytywałam pańskie artykuły, oto wszystko.

— A! czytywałaś moje artykuły.

Brawo Joasia. Ona czytywała moje artykuły.

— I grywam nie tylko Wagnera, ale Saint-Saensa, Schuberta, Schumana, Berlioza.

— Grywasz Berlioza. I rozumiesz go?

— Nie wiem, rzekła, sam się przekonaj.

Usiadłszy też do fortepianu, zaczęła grać ów uroczy utwór, będący symfoniczną fantazyą. Ale jak to grała. Byłem zachwycony...

— I cóż? pyta.

— Doskonale! czekaj!

A pochwyciwszy ją w ramiona, zacząłem całować w same usta.

W tej chwili weszła Kamilla.

— Nie żenujcie się, rzekła ze śmiechem.

— Ach Kamillo, nie powiedziałaś mi wcale, że to artystka, wielka artystka.

— Dowiesz się jeszcze o czem innym, odpowiedziała wychodząc

— Joasiu, posłuchaj mię. Proszę cię o przebaczenie, żem cię lekceważył, stokrotnie cię przepraszam. Lekceważyłem cię do tej godziny, otóż posłuchaj mojego wyznania mojej spowiedzi. Nudziłem się, nudziłem się z wami. Cóż chcesz, nie znam tu nikogo. Wprawdzie uważałem cię za dziewczeczkę bardzo przyjemną, ale zbyt młodziutką, która jest sympatyczną, smaży konfitury i ma grube ręce z odziębienia. Dopiero skoro zaczęłaś grać Tannhäusera, tę wielką, uroczą, idealną symfonię fantastyczną, spadłem z obłoków na ziemię.

Uśmiechnęła się i odczułem, że jest zadowolona, uradowana.

— Może ci ją zagrać kuzynie?

— Zrobimy lepiej. Zagramy ją we dwoje.

O godzinie 7-mej, kiedy Paulina zaprosiła nas na obiad, jeszcze siedzieliśmy przy fortepianie.

O moi przyjaciele mogą się teraz zalewać absyntem u Pousseta, ja mego miejsca nie opuszczę.

V.

Owoce, które dojrzewają.

Obecnie ja i Joasia jesteśmy przyjaciółmi.

Dzisiejszego poranku siedzieliśmy pod wielką gruszką, rozmawiając, a raczej pozwoliłem mówić Joasi.

To taka zabawna ta szczebiotka; któżby sobie wyobraził, że ta tak niepozorna blondyneczka, okaże się tak rozumną. Często mówiła takie rzeczy, że mi zamykała usta, nie wiedziałem co odpowiedzieć. Wszystkiego dotykała i sztuki i literatury i muzyki, a nawet nieco filozofii psychologicznej — był to kwiat, rąbek filozofii, ale ta istotka nie znająca wcale życia, ani świata, który widziała zaledwie przez sztachety klasztoru, była imponująco piękną, uroczą.

A było zabawnie słuchać opowiadania jej siedemnastoletniego życia.

— Czy przypominasz sobie kuzynie, jak mnie pieściłeś na swoich kolanach.

— Czy przypominam. Do licha! Była tak duża jak pięść, jasna blondynka, ruchliwa jak żywe srebro.

— W dziesiątym roku życia oddano mnie na pensję w Avignonie. O, jakże się tam nudziłam.

— I jak dawno wyszłaś stamtąd?

— Minionego roku.

— I w ciągu jednego roku tyle się nauczyłaś?

— Tak mój kuzynie, w ciągu roku. Kiedy wyszłam z pensyi, byłam bardzo głupiutka. Nie taka jak dziś. Lecz od czasu...

Joasia uśmiechnęła się.

— I od czasu? zapytałam.

— I od czasu tego uczyniłam wielkie postępy. Pozostawiono mi w domu zupełną swobodę, odczytywałam dzienniki, które ojciec przynosił i tam dowiedziałam się o wielu rzeczach. Z natury jestem bardzo ciekawa i czytając ocenę jakiej opery, kupowałam partycyę. Tym sposobem poznałam Wagnera, Berlioza, Schumana i innych mistrzów, o których nie słyszałam nic na pensyi. Byłam też przejęta uwielbieniem dla krytyków sztuki. Przeglądałam dzienniki ilustrowane, dowiedziałam się o nazwiskach malarzy genialnych, a czytając krytykę, nauczyłam się ich oceniać według talentu. Interesował mię też i teatr.

— Czytałaś komedye? pytam z obawą.

— O, nie wszystkie, lecz czytałam ich oceny.

— To już wiele.

— Nie jestem małym głuptaskiem. Znam wiele rzeczy mój kuzynie.

— Ależ to bardzo nie dobrze. To nie dobrze z twojej strony.

— Tak uważasz?

— A konfitury?

Obraziła się.

— Umiem także smażyć konfitury mój panie, znam się na kuchni, jak niemniej haftuję, szyję, naprawiam. Pan twierdzisz z Molierem i zapewne jesteś zdania, że kobieta nie powinna wyżej wznieść się nad zwykły obowiązek przyszywania guzików do koszuli.

Joanna była mocno oburzona.

Uspakajalem ją:

— Ależ nie, moja Joasiu, nie myślę tak. Przeciwnie, uwielbiam cię, uwielbiam szezere, że umiesz tyle rzeczy, których cię nikt nie uczył. Uwielbiam cię ponieważ tak myślisz jak ja myślę, ponieważ twoje zdania są odbiciem moich' przekonani.

— Nic dziwnego, ponieważ to od ciebie pochodzi.

— Odemnie, biedne dziecko Ależ ja dopiero pierwszy raz z tobą rozmawiam i nie mam pretensyi, abyś słuchając mnie, przejmowała się moimi przekonaniem.

— A pańskie artykuły, panie autorze, a twoje dzieła?

— Więc to ja?

— Tak, pan. Nie znalazłam pana, ale przypomniałam go sobie cokolwiek. Lecz jednego dnia, właśnie po opuszczeniu pensyi, przybyłam tutaj, do mojej kuzynki i ujrzałam cudowną fotografię. Przedstawiała ona młodzieńca o twarzy inteligentnej, z wyrazem rozumu, z ustami małemi ale wyrazistemi i do tego w okularach.

— To byłem ja. Dziękuję.

— Kto to jest ten pan? Pańska siostra odpowiedziała: Ależ to Maurycy, nie pamiętasz go? Oto, otrzymałam właśnie jeden tom od niego. Czy chcesz przeczytać? Były to poezye Pana: „kwiat ostrokrzewu“. Przyznam się panu, że wcale nie zajmowała mię dotąd poezya. Poezyą dla mnie była „Atalia i Ester“ i był „Mały Sabaudczyk“. Z pewnem zachmurzeniem wzięłam do ręki ten tom, nie śmiejąc stawiać opozycyi i przyszłam tu, do tej samej ławki, na której siedzimy, zamierzając przerzucić go pobieżnie; obejmował on historję, która się wielce podobała Kamilli.

Otworzyłam książkę na chybił trafił i zaczęłam czytać. Była to historia przypominająca po części moje życie. Boże, jakież to piękne, czytałam czytałam i gdyby mnie Kamilla nie zawołała na obiad, jeszczebym czytała.

Ale źle nie wyszłam na tem. Byłam poprostu oczarowana. Zdawało mi się, że zbudziłam się z jakiegoś długiego snu, a być może dopiero urodziłam się, bom wcale nie znała życia. Przekonałam się, że jest coś po za samem życiem materyalnym, jakie prowadziłam dotąd i byłam szczęśliwą, szczęśliwą jak może być niewidomy, który pierwszy raz ujrzał światło

Więc przeczytałam całe dzieło, a nawet i inne jeszcze, jak „Złośliwy uśmiech“, „Nowoczesny Snobizm“, „Kwiat Ostrokrzewu“ i „Pochlebca“. Był to początek. Dla mnie nowe życie. Więc poznałam autorów, o których nie wiedziałam. Jednym słowem stałam się tą Joanną, którą teraz widzisz pan przed sobą. Oto moja historia życia kuzynie. Czyliż nie mam słuszności, twierdząc, że ty mię pouczyłeś? Bez ciebie, byłabym pospolitą mieszczanką, bez wyższej inteligencyi, jedynie zajęta smażeniem konfitur i przyszywaniem guzików do koszuli. Ty jesteś moim ojcem, ty!

— Będę twoim przyjacielem Joanno, to daleko lepiej, twoim przyjacielem To odpowiedniejsze w twoim i moim wieku. A teraz chodźmy na śniadanie, ponieważ widzę, że Paulina daje nam znaki. Pieczeń się przepali i Paulina będzie bardzo zagniewana.

Zasiedliśmy do śniadania.

— Mam tu list do ciebie, rzeźce Kamilla. Zapomniałam ci oddać.

List był od przyjaciela.

„Dowiedziałem się z „Don Quichotte“ żeś opuścił redakcyę; ofiarują ci 600 franków miesięcznie, w zastępstwie grubego Pistola, który umarł. Jeżeli zgadzasz się, przybywaj, zanim to miejsce kto inny zajmie“.

— Co to takiego? pyta Kamilla zbyt ciekawa jak to najczęściej stare panny.

— Nic. Zaproszenie do powrotu, do Paryża. Ofiarują mi 600 fr. w dzienniku: „Don Quichotte“ i chcą abym natychmiast przyjechał.

— Zapewne pojedziesz wieczorem?

— Wcale nie. Zostanę tu, bo mi dobrze.

Kamilla coś mruknęła, a że mam bystry słuch, posłyszałem, że wyraziła się o mnie, jakobym nie był stały w swych zamiarach.

Co się tyczy Joasi, zarumieniła się; spuściła oczy i nachyliła się nad swoim talerzem.

Zrozumiała zapewne, kochane dziecko, że tu dla niej pozostaję, że właśnie czar jej osoby utrzymuje mnie w Mondragon i że nie spieszy mi się objąć tę posadę w Paryżu. Być może nie myślała o tem. Ale któż wie? Kobieta każda posiada bystrość nadzwyczajną umysłu, a Joasia przecież była kobietą.

Zresztą, po części miała słusność. Gdybym był wczoraj wieczorem ten list otrzymał, miałbym doskonały pretekst do wyjazdu z tego domu,

w którym się potężnie nudziłem, a nudy te ciążyły na mnie jak płaszcz z ołowiu. Wczoraj, tak. Ale dziś.

Dziś się wszystko zmieniło.

Wczoraj jeszcze nie znałem Joasi. Dziś ją zupełnie przeniknąłem. Nie myślę odjeżdżać. Jestem jak ten bibliofil, który wykrył drogocenne dzieło, trzyma je przy piersiach, pieści jako skarb nieoceniony i prawie je pożera czytając.

Nawet gdyby mi dawali cesarstwo w nagrodę, nie pojechałbym.

Po śniadaniu mówi do mnie Kamilla:

— Idź się przejdź nieco, ja i Joasia będziemy składały i rozwieszały bieliznę.

Prędko odpowiedziałem:

— Gdzie chcesz, ażebym poszedł. Będę składał z wami bieliznę.

I we czworo, Paulina, Kamilla, Joasia i ja zaczęliśmy w ogrodzie na sznurze rozwieszać rozmaite części bielizny.

Paulina przynosiła na stół bieliznę w miarę jak usychała. Kamilla przeciągała chustki, koszule, pantalonki i inne części, ja zaś i Joanna przeciągaliśmy prześcieradła i serwety. Joanna trzymała za jeden koniec, ja za drugi. Nie wiem dlaczego trzeba nami było potrząsać. Skoro jednak zanadto prędko to następowało, Joasia wypuszczała je z ręki, prześcieradło upadało na ziemię, a myśmy

się śmiali do rozpuku. Nie bardzo to podobało się Kamilli i oświadczyła bez ogródki, że nas wypędzi za drzwi, jeżeli nie zachowamy się z większą powagą.

Jakże inaczej być mogło? Słońce jaśniało rozkosznie na błękitnem niebie, wiatr z lekka powiewał, Joasia była tak piękną w swej różowej sukience i w tym wielkim słomianym kapeluszu, który ciągle poprawiała śmiejąc się.

Ale pies zaszczekał — czy opowiadałem, że był tu pies? Nie. Dźwięki zaskrzypiały.

Któż nas odwiedza?

Nie można było zobaczyć, bo go bielizna rozwieszona zakrywała.

— Dzień dobry księżu proboszczu, rzekła Paulina.

I rozsuwając bieliznę, ukazał się nam zacny ksiądz Plautin.

— Niech was Bóg błogosławi moje dzieci. Dzień dobry Maurycy. Nie przeszkadzajcie sobie. Przechodząc tędy, zatrzymałem się, aby wam powiedzieć dzień dobry.

— Joasiu podaj krzesło proboszczowi. Czy proboszcz nie napije się czego? Paulino przynieś butelkę muszkatołowego wina.

— Dziękuję odpowiedział Plautin.

Ale nie słuchano go. Joanna podała mu krzesło. Paulina postawiła butelkę wina i cztery szklanki. Odsunięto bieliznę i zaczęła się rozmowa.

-- Nie przykrzy ci się Maurycy?

— O, wcale.

— Nie można wierzyć Paryżanom. Zwykle odczuwają tęsknotę do bruku paryskiego.

— O księżu dobrodzieju chyba mnie stąd uwiozą przemocą. Przecież przybyłem tu z własnej chęci.

— Zapewne, ale tam w Paryżu musiała zajść jakaś historia.

— Bynajmniej. Miałem zajście z redaktorem. Groził mi, że zmniejszy wynagrodzenie, więc go porzuciłem. Ponieważ byłem wolny, przypomniałem sobie wezwanie Kamilli, która mi pisała, aże bym przybył, bo winogrona dojrzewają, a gałęzie drzew aż się łamią pod ciężarem owoców. Byłem ciekawy to ujrzeć i oto jestem.

— Tymczasem, co jest bardzo szczególne, powódź zatopila winogrona i drzewa owocowe, a Maurycy naumyślnie się trudził, rzekła moja siostra.

— He, he, rzekł z uśmiechem proboszcz, kto to wie? Szukając dobrze, możnaby znaleźć jaki owoc, który należałoby zerwać.

Śmiech ten dawał wiele do myślenia.

Joanna nachyliła się, żeby podnieść chustkę, która jej z rąk wypadła.

Co tu na to wszystko powiedzieć?

Jaki to ma być owoc, który jeszcze możnaby zerwać?

On znajdował się tuż pod moją ręką.

Nie dopowiem reszty.

~~BIBLIOTEKA~~
URZĘDNI: VI. KRAKOWIE
SERIA IV.

Ogień św. Jana

Tego dnia najspokojniej siedzieliśmy w ogrodzie, kiedy nagle pies zaszczekał, a właściwie drzwi zaskrzypiały i piasek zgrzytnął pod czyjąś stopą, a jakiś człowiek zbliżył się do nas.

Był mały, przysadkowaty, siwawy, z twarzą starannie ogoloną, prawdziwy wieśniak z Kantonu... w spodniach z płótna, w grubej koszuli i wielkim pasem, którym obwinał sobie brzuch. Z czapką w rękę i w niebieskiej bluzie, podchodził do nas z uśmiechniętą twarzą.

— Otóż i pan Castagnol, rzekła moja siostra.

Nieznajomy odezwał się:

— Sługa szanownej pani, dzień dobry całej kompanii.

— Nie poznajesz Castagnola? Nasz dzierżawca folwarku Palamard, zapytała się siostra, widząc, że się wcale nie odzywam do przybyłego.

— Rzeczywiście, to prawda — pan Castagnol. Do licha czy go nie poznaję?

Wcale się nie zmienił, zawsze ten sam, z twarzą uśmiechniętą, ale ja także się nie zmieniłem. Powstałem, wyciągając do niego rękę.

— Dzień dobry, Castagnol. Jak się powodzi? Pan mię poznajesz, spodziewam się.

Castagnol uśmiechał się:

— Czy pana poznaję? Do licha, poznaję pana. Musiałbym nie mieć oczów, żebym pana nie poznał, pana, dla którego chwytalem koniki polne. Jakże pańskie zdrowie?

— Doskonale, jak pan widzisz.

— Tem lepiej.

Kamilla pyta:

— Cóż pana sprowadza do nas?

— Ach prawda. Widok pana Maurycego zawrócił mi głowę. Jutro mamy Śgo Jana.

— Już?

— Tak jest, dzień piękny, upragniony, uroczystość żniwiarzy. Otóż czy państwo raczycie przyjąć udział w święcie Palamardu?

— Ależ...

Joasia przerywa.

— Czy będzie zapalony piękny ogień?

— Najniezawodniej panienko, rzucimy całe krzewiny i zrobimy z nich ognisko, chociaż i tak nie brak suchych gałęzi.

— O jakaż to przyjemność! mówi Joasia klaszcząc w ręce.

— Czy pójdiesz tam Maurycy? pyta siostra.

— Dlaczegożby nie?

Castagnol na mnie patrzy.

— Tacy jak pan Paryżanie nie lubią podobnych uroczystości, szczególnie święta żniwiarzy.

— Ależ dzielny panie Castagnol, zapominasz chyba, że pochodzę z Montragon. Czy sądzisz, że nie potrafię tak jak inni skakać przez ogień?

— Więc pan przybędziesz?

— Najniezawodniej.

Castagnol widocznie uradowany, nie wie jak ma dziękować.

— O której godzinie stawić się trzeba w Palamard?

— Siądziemy do stołu przed zmrokiem, wszyscy ze szklankami w rękę, pozdrowimy zachód słońca, nasze słońce Prowancyi, które tak dobroczynnie dopomaga do dojrzewania ziarna.

— Więc do jutra.

I Castagnol, mocno uradowany odchodzi, wypiwszy za zdrowie nasze szklankę wina, podaną mu przez Paulinę.

Nazajutrz, gdy już słońce poczęło się zniżać, skierowaliśmy się, moja siostra, Joanna, Paulina i ja ku Palamard.

Był to, pół mili od Montragon, znaczny folwark otoczony wysokimi tonolami.

Dobrze, że uroczystość odbyła się po zachodzie, bo też upał był nieznośny.

Prawdziwe święto prowanskie.

Możnaby tu ułożyć rodzaj wierszyka, któryby brzmiał:

„Wrzucono mię do ziemi, mówi ziarenko, ale ja wypuszczę kielki, gdy Bóg najwyższy pozwoli. Nie jestem wprawdzie Bogiem, ale będę dobrodziejem tego ludu.“

Coby inaczej można określić:

„Jakoście mnie posiali, zaczęłam kielkować, wydobywać się z ziemi, a potem dostałam kłosa, nie będąc samym Bogiem, zaopatrzyłam ludzi w mąkę, a nawet urobiono z niej i świętą hostyę!“

Idąc powoli, gdy wszystko wokół nas śmiało się i śpiewało, powoli byłem zelektryzowany, zbudziło się we mnie uczucie rodzinne prawdziwego Prowansalczyka.

Rzekła też moja siostra:

— Ty mię na prawdę zachwycasz. Myślałam, że pobyt w Paryżu ukształcił w tobie nową duszę, duszę mieszczanina pogardzającego wioską, a teraz widzę z radością, że wydajesz się, jakbyś nigdy z Montragon nie wyjeżdżał. Mówisz tak, jak mówił nasz ojciec.

— To prawda.

O gdyby mie teraz słyszeli inni u Pousseta i Napolitaina, gdyby w miejsce liryzmu, ujrzeli tę

swobodę istotnego wieśniaka, toby dopiero mnie szukanowali.

Tem gorzej dla nich. W głębi duszy czułem, że jestem sobą, że pozostawiłem w Paryżu innego Maurycego, który wprawdzie podobny jest do mnie jak brat, ale nie jest mną.

Tak rozmyślając dotarliśmy do Palamard.

Wielki stół ustawiono w podwórzu folwarku, pokryty olbrzymim obrusem i talerzami, malowanymi w kwiaty.

Franciszka, małżonka Castagnola i dwie córki jej czyniły honory domu, nieco zakłopotane naszą obecnością, chociaż, mówiąc prawdę, ja byłem w towarzystwie tem bardzo onieśmielony.

Nareszcie promienie słońca zaczęły się wydłużać, z chat gromadzili się żniwiarze weseli z piosnkami na ustach.

— Niech żyje Św. Jan. Niech żyje Castagnol. Niech żyje Palamard!

Usiedliśmy do stołu.

Jakiż to był obiad? Zapewne Marguery albo Peters nie byliby odważyli się na podanie takiego *menu*. Ale to nic nie szkodziło. Byli wszyscy głodni, spragnieni i każdy czynił należne honory podawanym potrawom.

Po uśmierzeniu głodu, w chwili kiedy rozlano w szklanki wino grzane i podano ser kozi, mi-

gdąły, orzechy i miód w plastrach, każdy zaczął coś śpiewać.

Zapadła noc, tylko wielkie latarnie oświetlały drzewa, rzucając na cały obraz łagodne, jakoby przyćmione światło. Było nam dobrze, przyjemnie, czułem że żyję, przy mnie siedziała Joasia, jakby odurzona szczęściem.

— Cóż, żałujesz żeś tu przyszedł?

— Nie.

— Jestem pewna, że w Paryżu, nie mógłbyś mieć tak rozkosznych wrażeń.

— O niewątpliwie, gdyby mię teraz przymuszano siłą do powrotu, to zapewniam cię, że uczułbym się najnieszczęśliwszym z ludzi.

Joanna patrzyła na mnie. Chciała coś odpowiedzieć, ale nagle rozległ się przeraźliwy krzyk:

— Farandola! Farandola!*)

Wnet wszyscy zerwali się od stolika jakby zelektyzowani, pochwycili się za ręce formując łańcuch i przy dźwiękach pikuliny i bębna, zaczęli krążyć około folwarku, po łąkach i polach. Farandola szła porządkiem zwykłym.

Jedną moją ręką trzymałem rękę szorstką jakiegoś wieśniaka, drugą delikatną, ciepłą, rączkę Joasi i tańczyliśmy i skakali.

Okrążywszy pięć lub sześć razy Palamard, farandola dosięgła gór, gdzie czekał Castagnol.

*) Rodzaj krajowego tańca.

Usłyszeliśmy trzask krzesiwa, błysnęły iskry, zapalono ogień Św. Jana.

Każdy folwark, każdy dom każda stodoła jaśniała płomieniami i wszyscy byli uradowani.

Ogień rozniecony w Palamard nie ustawał. Palily się nagromadzone w ogromny stos krzaki.

Ale, jak mówił Castagnol nie brakło drzewa, a drzewo w tym roku było bardzo tanie.

Farandola zatrzymała się, ludzie sapali, mimo to skakali, kręcili się jak frygi.

Nagle Castagnol zawołał:

— Kto będzie skakał przez ogień Św. Jana. No panowie młodzi, czy jesteście wypchani słomą?

Nikt się nie poruszył.

Ogień jaśniał coraz szerzej, coraz gwałtowniej, nikt nie miał ochoty opalić sobie włosów i brwi.

Doprawdy, szaleństwo opanowało mię chyba, pochwyciłem żerdź *), którą nadaremnie ofiarowałem służbie i pasterzom.

— Ty nie będziesz skakał, rzecz siostra.

— Ależ ty się spalisz, krzyknęła Joanna, jesteś niewprawy do tego rodzaju gimnastyki jak Paryżanin.

— Zobaczymy.

I zwracając się do Castagnola zawołałem:

*) Zwykle przy przeskakiwaniu ognia, używają tu, tak jak górale przy przeskakiwaniu przepaści, długiej żerdzi opartej na ziemi, która ułatwia skok.

— No, Castagnol, dorzuć jeszcze kilka gałęzi.

Podsyciono znowu ogień. Pośród ogólnego milczenia wszystkich tych dzielnych ludzi, zdumionych zuchwalstwem Paryżanina, dającym przykład niezaprzeczonej odwagi, umieściłem moją żerdź w środku ogniska i oparłszy się na niej, za jednym skokiem przesadziłem palący się stos.

Nastąpił ogólny krzyk zdziwienia!

— Niech żyje pan Maurycy!

I wszyscy w głos wypowiedzieli ową przepowiednię:

— Kto przeskoczy stos palący się w dniu Św. Jana, ten w tym roku się ożeni.

— Pan wiesz, że przysłowie to sprawdza się zawsze. Powinieneś przygotować tort z migdałem *).

Przypatrywałem się mojej siostrze, była uśmiechnięta, co zaś do Joanny, stała zarumieniona ze spuszczonej w ziemię oczami.

— Ej! Ej! czy nie dostałem się w pułapkę!

VII.

Droga szczęścia.

Budząc się nazajutrz, przypomniałem sobie wiersz Józefiny Soulary, o drodze do szczęścia.

Dlaczego?

*) Zwyczaj prowauki.

Alboż ja wiem.

Blisko temu piętnaście miesięcy jak czytałem ten wiersz a dziś dopiero przyszedł mi na pamięć.

Czasami dziwne myśli rodzą się w umyśle człowieka.

Przyszłość jest zawsze tajemnicza, niby mgła ukryta przed wzrokiem człowieka. Kto dożyje, zobaczy, mówi przysłowie, kto dożyje, odcierpi możnaby na to odpowiedzieć.

Dlaczego? Alboż doznałem jakich cierpień? Dwa jedynie punkta ciemne w mojem życiu, dwie boleści niczem nie wynagrodzone. Serce moje uczuło boleść okrutną, niczem nie złagodzoną, bo to były dwa groby świeżo usypane. Oprócz tego nic więcej, nic. Szczęście, to obfitość kwiatów, powiada Calchas płaczącym głosem.

Młodość moja upłynęła w pieśczętach, życzenia moje były wszystkie spełnione: mój pobyt w kollegium przy pracy gorliwej postawił mię na czele tej klasy społeczeństwa, z której pochodziłem; nie tylko że uzyskałem ogólne poważanie, ale nawet splecione zostały dla mnie wieńce chwały, laury; później podniosłem się jeszcze wyżej, otoczony opieką znakomitych osób. nakoniec nastąpiła realizacja moich marzeń, przybyłem do Paryża: wszedłem do dziennika, rozpocząłem życie literata, życie artysty; wydawcy kupowali moje prace, teatr

przyjmował do grania moje sztuki, było to życie pełne chwały. Czegoż mi więcej braknie? Nic.

Niestety, to prawda, nie mogę żądać więcej!

Sny moje urzeczywistniły się, jestem szczęśliwy, ale ta łatwość egzystencyi, powiem prawdę, przykrzy mi się

Czegoż jeszcze spodziewać się?

Jakież nowe stoją przede mną drogi, jaki cel dalszy mojego życia?

Jutro lub pojutrze, może za miesiąc, za rok powrócę do Paryża. Rozpocznę znowu życie dziennikarza; będę pisywał na nowo artykuły, podobne do dawniejszych moich prac; ułożę romans, który mi przyniesie tę samą sławę, jak inne. Nie mogę się łudzić, moja sława już ustalona, nie mogę pragnąć czegoś wyższego. Będę zawsze tym, kim jestem.

A więc?

Zanadto prędko dosięgnąłem szczytu mojej ziemskiej karyery. Nie mogę niczego oczekiwać, ani czegoś więcej spodziewać się

(Gdybym na nowo rozpoczął moje dawne życie?

— Maurycy! Maurycy! Czy nie chcesz, abyśmy się cokolwiek przeszli.

To Joanna mię wzywa.

Bardzo na czasie!

I wszystko to, o czem mówi Souлары, mianowicie, że szczęście znajduje się pod ręką człowieka,

przekonywa mię, że mogę spodziewać się tego szczęścia, bo czyliż nie jest jedynem szczęściem literatura i sztuka?

— Cóż, jesteś gotów Maurycy?

— Owszem, gdzież tedy pójdziemy?

— Pójdziemy, jeżeli zechcesz, do zamku. Widok stamtąd przecudowny, nigdy tam prawie nie byłam.

— Dobrze, idźmy.

Zamek był odwieczną ruiną z czasów feudalnych, a należał do barona Adrets, o którym opowiadają straszne historye.

.Joanna, która wie wszystko, opowiedziała mi to.

Ale nie słuchałem, zajęty myślami, które od rana rozsadzały mi głowę.

--- Cóż myślisz moja kuzynko o szczęściu? pytam.

— .Ja?

Była niezmiernie zakłopotana tem zapytaniem.

— Pan chyba najlepiej wiesz o tem, lepiej podobno niż inni, bo przecież sam wydałeś dzieło pod tytułem: *Poszukiwanie szczęścia*?

— To prawda. Ale moja książka niczego nie dowodzi. Nie postawiłem tam żadnego zakończenia. Ja nigdy stanowczo w moich dziełach niczego nie konkluduję.

— Bardzo to dobrze, mnie się jednak zdaje, że szczęście jest to urzeczywistnienie życzeń i pragnień, realizacya młodzieńczych marzeń i snów.

— A ty .Joasiu jesteś szczęśliwa?

— Tak mi się zdaje.

— Więc zrealizowałaś swoje sny. Jednakże ja nie uważam się za szczęśliwego.

— A zatem mój kuzynie szczęście nie polega na realizacyi pragnień, ale raczej na oczekiwaniu ich zrealizowania.

— To słusznie, Joasiu. Czyliż nie mogę nazwać się szczęśliwym, gdy mój sen materyalnie się urzeczywistni.

— Dzień dobry moje dzieci. Gdzież to podążacie? zawołał nagle ksiądz proboszcz.

— Do zamku.

Plautin roześmiał się wesoło.

— Nie idziecie właściwą drogą.

— To prawda.

— Zbłądziliśmy, prowadząc bardzo interesującą rozmowę, odparła Joasia.

— I o czem też mówiliście?

— Mówiliśmy o szczęściu. Joanna powiedziała mi, że Pygmalion był niedołągą.

— Dlaczegoż to?

— Ponieważ chciał przeżyć swój sen.

Ksiądz Plautin zamyslił się

Ta myśl widocznie go zastanowiła.

— Chodźmy, rzekł.

I poszliśmy.

Była to droga, prowadząca obok stolarza Bedaride.

— Dzień dobry Bedaride! rzekł Plautin.

Weszliśmy do warsztatu.

Bedaride nas pozdrowił i prosił, abyśmy przeszli do kuchni.

Zastaliśmy tam panią Bedaride, młodą, przystojną, smukłą jak konik polny. Dzieci igrały obok niej, chłopak mający około lat sześciu i drugi mały, jak komar, około 4 lata.

— Czy mogę was poczęstować napojem z porzeczek?

I nie czekając na odpowiedź, jego małżonka przyniosła butelkę i pięć szklanek.

— Wszystko dobrze idzie, mówił ten wesóły człowiek, bo rzeczywiście byli oboje szczęśliwi.

Jak się pobraliśmy, nie posiadaliśmy nic oprócz młodości i chęci do pracy. Początki były bardzo trudne. Trzeba się było urządzić, zakupić narzędzia i inne sprzęty. Często, wieczorem, opuszczały mnie siły, czasy były ciężkie, praca nie przynosiła wielkiego zysku, ale moja małżonka pobudzała mnie do wytrwałości. Potem przyszły na świat małe, obecnie jednak wszystko jest jak należy. Nie jesteśmy bogaci, ale mamy dość chleba i konfitur, aby nakarmić nasze dzieci. Kochamy się. Gdy się dzień skończy i nastanie wieczór, przyjemnie jest zasiąść do stołu we czworo, nieprawdaż Miette?

Dałem kilka sous dzieciom, Joanna je ucałowała.

Uścisnęliśmy ojca i wyszliśmy.

— Moje dzieci, mówił proboszcz, gdyśmy znaleźli się poza domem, chcieliście wiedzieć, co to jest szczęście? Nie jestem takim filozofem jak wy. Właściwie moja filozofia obejmuje zaledwie kilka słów, a tych kilka słów jest teorią bożą i koncentruje w sobie całą mądrość:

„Kochajcie siebie i innych“.

Sądysz, że cię nie znam, Maurycy. Oto już upływa dwadzieścia sześć lat, jak cię znam do gruntu. To, co się z tobą dzieje, przewidziałem naprzód. Czy chcesz, abym ci powiedział czem jesteś? Jesteś chorym, moje dziecko, a twoja choroba jest straszna, nazywa się bowiem: Egoizm! Jesteś zdolny do czynów szlachetnych, możesz być nawet miłosiernym, dając po dwa sous ubogim, obecnie nudzisz się i to jest twoje nieszczęście. Chciałbym, abys otrzeźwiał, abys dopiął swojego celu, ażebyś zmateryalizował twoje pragnienia, jak twierdzi twoja kuzyna. Myślisz, że się już wszystko dla ciebie skończyło, że nie masz na co czekać, że twoja przyszłość ustalona, że nie pozostaje ci nic więcej jak umrzeć. Można zajść daleko z podobnemi myślami, albo do samobójstwa albo do oblędu. Bawiąc w Paryżu nie zastanawiałeś się, dałeś się unieść ogólnemu prądowi, lecz zaledwie przybyłeś tutaj, gdy jakiś czas pozostałeś w tym spokoju, w tej ciszy tak błogosławionej, wszedłeś sam w siebie i dojrzałeś próżnię, nieuży-

teczność twego życia. Biedne dziecko! Czy sądzisz, że twoja siostra się nudzi? Jej życie równie doszło do właściwych granic, mimo to nie czeka ona jeszcze na śmierć. Żyje i spełnia czyny szlachetne, rozpoczęły się dla niej obowiązki miłosierdzia, bo wie, że jeszcze dla niej pozostały ważne chwile w życiu, chwile miłości względem bliźnich.

Twój ojciec, notaryusz, także doszedł do kresu swego, a jednak żył, był czynnym aż do grobu. Myślał o tobie, a twoja siostra pomagała mu swojemi radami, pracowała i zbierała grosze. Kiedy umarł, cały Montragon odprowadzał go na drogę wiecznego spoczynku i wszyscy mieszkańcy oplakiwali jego śmierć. Kochajcie wzajemnie jedni drugich, głosi nauka Chrystusa. Pamiętaj dobrze te wyrazy, niech one będą kierownikiem twego postępowania zamiast tych światowych hasel: urodzić się, żyć, mnożyć się i umrzeć, które są dewizą i zasadą takich samolubów jak ty!

Ale dosyć tego, dodał proboszcz, i na zakończenie pozwól mi sobie powiedzieć, że Pigmalion nie był takim bydleciem jak twierdziłeś. Stworzył cudowną figurę, jego zatem zadanie artysty zostało spełnione, to jest względem samego siebie; gdyby jednak ta jego postać ożywiła się, byłby się z nią ożenił i miałby dzieci, któreby wychowywał po bożemu, czemby zupełnie spełnił wolę Boga, który chce, abyśmy kochali swoich bliźnich.

Do widzenia moje dzieci. Możecie zwiedzić zamek i jeżeli, zwiedzając, spotkacie Bernardona w winnicy, możecie go pozdrowić w moim imieniu.

— Bernardon! Któż to jest Bernardon?

— Nie znasz go? Dzielny człowiek. Posłuchaj jego historyi.

VIII.

Winnica Bernardona.

Winnica Bernardona należała do najpiękniejszych. Jakież to cudne były dni dla Bernardona, gdy z fajką w ustach siedział w cieniu winnicy, a obok niego w wodzie stało kilka butelek tego soku, tego wina, słynącego na trzydzieści mil dookoła. Popijając i paląc fajkę mógł się zachwycać widokiem Montragon, którego domy były doskonale widzialne — dalej nieco rzeka Lez, podobna do węża, wygrzewającego się na słońcu; a dalej jeszcze Rodan, wielka linia płynnego srebra — nakoniec przegradzała widnokrąg ogromna niebieska kresa gór Cerennes.

Wspaniały widok, ale on przedkładał nad to swoją winnicę, otoczoną murem z kamienia. Znał prawie każdą gałązkę, każdy krzak — ten nie był nic wart i trzeba było go odciąć, tamten drugi pozostawał w zbytnim cieniu, a inny znowu wy-

stawiony był na gwałtowną operację słońca. Wogóle winnica pięknie zieleniła się; ani jednego żółtego listka, żadnej plamki, żadnej przerwy, nic. Filoksery nie śmiałyby jej atakować; zginęłyby z kretesem.

Bernardon lubił swoją winnicę: stanowiło to jego życie i za żadne w świecie skarby nie zgodziłby się na jej sprzedanie

To też był to prawdziwy szturm, kiedy w niedzielę jego przyjaciel Mounine z gwałtownością zapytał:

— Kiedyż tedy ślub? Już czas raz to skończyć. Dzieci chorują z tęsknoty. Trzeba się zdecydować do dyabła.

Bernardon miał córkę, która kończyła już rok siedemnasty, od piętnastu miesięcy zaręczona z Gustawem Mounine. Dzieci kochały się, ale wydając córkę za mąż Bernardon był obowiązany dać w posagu winnicę...

— Nie ma się co spieszyć, mówił w początku.

Ale obecnie Marietta była już dorosłą dziewczyną, była jak ów owoc, którego dojrzałość przyspieszył żar promieni południowego słońca i Bernardon nie wiedział jaką dać przyczynę tego odraczania terminu; także i tego wieczoru na przemowę swego przyjaciela milczał uporczywie, wreszcie rzekł:

— Masz słuszość, lecz zostaw mi jeszcze dwa dni do ostatecznego namysłu.

I nazajutrz znalazł się wczesnym rankiem przy winnicy. Dzień był prześliczny, winnica błyszczała całym przepychem świeżości.

Bernardon usiadł i zagłębił się w ponurych myślach.

On już nie będzie tu siadywał, nie będzie spędzał długich a szczęśliwych godzin, pieszcząc wzrok widokiem zielonych krzewów, nie będzie palił fajki ani popijał wybornego soku. Inny zajmie jego miejsce, inny będzie ją oczyszczał w zimie, na wiosnę będzie skopywał grunt, plewił złe chwasty w lecie, a w jesieni wyciskał soki i wyrabiał wino.

Tego innego on zna, jest nim Gustaw, ma być jego zięciem. Może tu przychodzić tak jak teraz on, a ponieważ przestanie być właścicielem, tylko illuzorycznie przenosić się będzie myślą do ukochanej winnicy. Ba, a jeżeli Gustaw zechce ją sprzedać? Tak, tak, on ją sprzeda.

Za każdym razem ta myśl przejmowała go dreszczem i smutkiem. Nie, nie, on zatrzyma przy sobie winnicę i Marietta zostanie starą panną.

Niestety widział Mariettę, która z powodu tego odraczania prawie była chora. Widywał oboje, jak się pocieszali wzajemnie. To już trwało blisko dwa lata, tęsknota wzrastała i może wkońcu spowodować śmierć.

— To bardzo źle, zawołał pocziwy człowiek i nie zastanawiając się, nie oglądając się poza siebie, z obawy, aby nie zmienił postanowienia, zbiegł z pagórka i zapukał do drzwi swego przyjaciela.

— Już zdecydowałem się, rzekł, Gustaw otrzyma winnicę i Mariettę.

Jakież to świetne wesele! Mówiono o niem w Montragon całymi tygodniami. Była uczta dla ubogich i stół wykwinny dla nowożeńców, a wiele to stało beczek z winem. Nowożeńcy nie posiadali się z radości. Sam nawet Bernardon śmiał się wesoło, jakby całkowicie wyszła mu z pamięci winnica.

Ale nazajutrz, nazajutrz, kiedy odurzenie znikło, inne myśli opanowały głowę Bernardona, był smutny, bardzo smutny.

Obawiał się spojrzeć w tę stronę, gdzie znajdowała się winnica i wydawało się mu, jakby wszystkie krzaki czyniły mu wyrzuty, że je oddał w obce ręce.

— Niewdzięczniku, Bernardon, kochałyśmy cię całą duszą. Przecież ci nic nie brakło, wszystko szło jak najlepiej, a winobranie było zawsze obfite. Filoksera nie dotknęła naszych listków.

— Ach moje biedne winogrona, moje biedne winogrona, cóż mi was teraz zastąpi... Nie mogłem się oprzeć, bo moja córka umarłaby z miłości.

— Tak, przенiosłeś nad nas twoją córkę, gdy my miałyśmy jedyne życzenie zostać przy tobie.

— Lecz...

— Milcz niewdzięczniku.

Biedny Bernardon szybko zwrócił się w kierunku Montragon, nie oglądając się poza siebie.

Nic jeść nie mógł, ani pić. Wina? Ależ wina była pełna piwnica, tego wina sławnego na cały kanton. Nie ośmielił się jednak dotknąć go ustami. Widocznie sechł z żalu i kazał stolarzowi przygotować trumnę.

Jednego dnia Gustaw przybiegł do teścia z pomyslną nowiną.

— Marietta, zawołał, powiła tęgiego chłopaka.

Ojciec nie posiadał się z radości, ale teść nawet na to nie mrugnął okiem.

Na co znowu odezwał się Gustaw:

— Jakem poślubiał Mariettę, dałeś mi winnicę, obecnie zaś, kiedy otrzymałem Mariettę, zwracam ci winnicę i jesteśmy zupełnie skwitowani.

Starzec pobladł, potem na policzkach wykwitł mu rumieniec. Był blizkim omdlenia.

— O dzielny chłopcze, rzekł, więc mi na prawdę zwracasz? Chodź tu do mnie.

Objął go ramieniem, zaczął całować a potem, wzięwszy czapkę, wyszedł.

— Czy nie chcesz ojcie zobaczyć małego?

— Dobrze. Ja pragnę przedewszystkiem zobaczyć moją winnicę.

W podskokach jak młodzik pobiegł do winnicy, mówiąc :

— To ja! Czy mię nie poznajecie, to ja, ojciec Bernardon! Powracam do was, nie mógłbym żyć, nie widzieć was byłoby dla mnie śmiercią. Teraz już z wami się nie rozstanę.

Wieczorem musiano go szukać i sprowadzić.

Od tej chwili ojciec Bernardon odzyskał zdrowie i fizyczne siły. Każdego ranka, jak dawniej, odwiedzał winnicę i siedząc na ławce, palił fajkę, a twarz jego promieniała szczęściem.

IX

Złota koza.

Na pagórku, wznoszącym się ponad Montragon, widać ruiny starego zamku, skąd rozpościera się prześliczny krajobraz. Nie wiem, coby powiedzieli o samyur zamku nasi archeologowie, ale wedle tradycyi miejscowej był to wspaniały zamek, należący niegdyś do barona Adrets, sławnego w wieku XVI ze swych rycerskich czynów, a tradycya ta doszła nienaruszona aż do naszych czasów.

Joasia, chociaż bardzo młodziutka, wiedziała o wszystkim i legendy jedna za drugą opowiadała

mi ze wszelkimi szczegółami, poczynając od tajemniczego odgłosu rogu, który słyszano na trzydzieści mil dokoła, aż do owej smutnej przygody, kiedy baron Adrets, ten straszliwy rycerz, skazany został na wskoczenie do przepaści, ale jednak zawahał się, mówiąc do siebie:

— Więc się boisz?

Odpowiedział sam jakby komuś, który stał przy nim:

— Chciałbym, żebyś był na mojem miejscu.

Co przyniosło mu ulaskawienie i kiesę złota.

Tradycya wielce osobliwa i dla mojej mózgownicy wcale niezrozumiała

No, ale to zawsze tradycya!

Jakkolwiek tam było, czy zamek ten należał do barona Adrets, czy do kogo innego, więcej jeszcze tajemniczego, ruiny przedstawiają się bardzo wspaniale, malowniczo, ze swemi olbrzymimi salami, z olbrzymimi murami i z tą wysoką, kolosalną wieżą, zakrawującą na dzwonnice kościoła, nazwaną przez miejscową ludność wieżą Croupatas?

Wdzieraliśmy się powoli po drodze wyboistej, trudnej do przebycia, za każdym bowiem krokiem usuwały się z pod nóg kamienie, gdy nagle ktoś za nami zawołał:

— Nieprawdaż, że to uroczy widok!

Odwróciliśmy się.

Był to jakiś mężczyzna w wielkim kapeluszu słomianym, na piersiach miał metalową blachę, co oznaczało strażnika polnego.

Mężczyzna ten uśmiechał się.

— Założyłbym się panie Maurycy, że mię pan nie poznajesz?

— Prawda. Aha! Ojciec Bagnette! zawołałem.

— Ten sam we własnej osobie.

Wyciągnąłem doń rękę.

Teraz sobie przypominam. Bagnette, to nie jego właściwe nazwisko. Nazywał się Benistan, jeżeli mię pamięć nie myli, ale ponieważ w wołyżerach pełnił obowiązki dobosza, otrzymał przydomek Bagnette i to mu do dziś pozostało. Obecnie był nie tylko strażnikiem rolnym, ale nadto pełnił obowiązki obwoływacza sądowego przy gminie, wreszcie był śpiewakiem kościelnym.

Dzielny ten człowiek mówił:

Przez bardzo długi czas nie pokazywałeś się pan wcale w Montragon.

— To prawda, ale Montragon wcale się nie zmieniło.

— He! He!

— Co chcesz przez to powiedzieć ojczy Bagnette?

— Chcę powiedzieć, że niema nic stałego na świecie, a tem mniej w Montragon. Jedni umierają, inni się rodzą, ten się zrujnował, tamten znowu

wzbogacił; stare domy rozsypują się w gruzy. a powstają nowe gmachy.

Zacząłem się śmiać.

— Co się tyczy domów, to mnie się zdaje, że tutejsi murarze nie robią majątku.

— He! He! Panie Maurycy. Oto przykład niedaleko. Czy pan widzisz te wysokie drzewa nad brzegiem Lez, ten dach czerwony, który tak krwawo błyszczy w słońcu.

I wskazał ręką w tym kierunku.

— Widzę. Więc cóż?

— Ten dom jest nowy a mogę panu zaręczyć, że to budowla nie bagatelna. Murarz, który ją budował, ładny ma mająteczek

— Do kogóż należy ten dom?

— Jakto, pan nie wiesz?

— Nie.

— To cała historia.

— Opowiedz nam.

— Dobrze. Tem więcej, że znajdujemy się na tem miejscu, na którym się wydarzyła.

Bagnette usiadł na kamieniu wprost Joasi i zwracając się do mnie zaczął:

— Zapewne znałeś pan w swoim czasie kamieniarza Congourdon.

— Być może.

— Congourdon mieszkał tam na dole nad skałą, zamykającą drogę do Bonene, w nędznej chałupce.

Miał czworo dzieci: trzech chłopców i jedną córkę i wszyscy żyli Bóg wie z czego, ponieważ rzemiosło kamieniarza nie jest wcale popłatne w naszym kraju. Nakoniec jednego dnia mieli tylko ziemniaki, na drugi dzień pili wodę, przegryzając suchym chlebem. Bywały jeszcze gorsze miesiące.

Bo trzeba panu wiedzieć, że Congourdon nie miał innych środków utrzymania, to jest zarobku, jak łamanie skał, a potem rozbijanie ich na drobne kamyczki dla usypywania nimi drogi. Kiedy zaś to się skończyło, biedny Congourdon z założonemi rękami czekał przyszłego sezonu — były to najniezszczęśliwsze miesiące dla rodziny.

Trwało to już cztery lata i nagle Congourdon wpadł na szczęśliwy pomysł.

Jak my, tak i wszyscy mieszkańcy Montragon słyszeli opowiadania o „złotej kozie“, która miała się znaleźć w ruinach zamku.

W czasach, kiedy jeszcze żył mój ojciec, wszyscy wierzyli w tę „złotą kozę“, później dopiero przekonano się jednak, że to była tylko tradycja.

Pewnego dnia Congourdon wybrał się do zamku w towarzystwie starszych dwóch synów i zapowiedział, że idzie szukać złotej kozy, co spowodowało ogólny śmiech w całym Montragon.

Congourdon wierzył w tę złotą kozę, jak w Ojciec nasz i kiedy wieczorem powrócił ze

swoimi towarzyszami, zapytywany czy ją znalazł, odpowiedział:

— Zdaje mi się, że ją trzymam już za rogi.

Znowu się śmiano.

Prawdą jest jednak, że w tem miejscu, na którem stoimy, kamieniarz kopał, rył, żgał, przebijając skały, opukując mury ruin.

Pewnego dnia, kopiąc ziemię, wydało mu się, że odgłos szedł jakby z próżni.

— Teraz ją już mamy, rzekł do swoich synów.

Było to w tym dniu, podczas którego zapewniał, że już kozę trzyma za rogi.

Wieczorem jednak nie odważył się na danie takiej odpowiedzi.

Nazajutrz do dnia, był tak pewny swego, że zaczął kopać otwór, wydobył stamtąd kilo lub więcej piasku i zapalił mech.

O moje dzieci!

Kiedy znikł piasek i dym się rozwiął przybliżył się Congourdon i zobaczył wielki otwór, prowadzący do pewnego rodzaju piwnicy.

Tam właśnie znajdował się prawdziwy skarb. Widziałem nie tylko ja, ale i mieszkańcy Montragon, którzy już wcale się nie śmiali, pałasze, wazy, garnki, medale, wszystko ze złota co warte było miliony milionów.

Przybyli też panowie z Avignon i inni jeszcze aż z Paryża, wszyscy wielcy dygnitarze i znako-

mici obywatele. Byli niesłychanie zdumieni. Mogę o tem mówić, bo pospieszyłem tam także z panem merem.

Ten skarb nie był przeznaczony dla Congourdona, inaczej bowiem prawo postanawiało co do znalezionych skarbów, jednakże otrzymał sto banknotów po tysiąc franków.

On też zaraz zbudował dom, który tam pan widzi z dachem czerwonym. Teraz jest pan całą gębą, a przeszłego roku wydał córkę za bardzo eleganckiego jegomościa.

Jeżeli zechcecie zobaczyć ten otwór, możecie go widzieć, bo jeszcze istnieje.

I Bagnette poprowadził nas do miejsca oddalonego na kilkadziesiąt metrów od głównej drogi.

Rzeczywiście był to otwór wielki, prowadzący do pewnego rodzaju głębokiej nory czy piwnicy.

— Może państwo tam zejść ?

Ale Joanna nie miała najmniejszej chęci.

Tymczasem noc zapadła i trzeba było wracać.

-- Mając sto tysięcy, można żyć spokojnie, wygodnie i bez troski, rzekłem.

- Tak pan sądzisz, odpowiedział Bagnette ze złośliwym uśmiechem. Inaczej się rzecz ma. Kiedy Congourdon był prostym łamaczem kamieni, ubogim murarzem, nieraz wesoło sobie śpiewał, teraz go nie widać. Chciałoby się udawać pana, ale brak koniecznych do tego warunków, ja nawet twierdzę,

że Congourdon dawniej miał lepszy humor, był wprawdzie ubogim, ale niezależnym od nikogo, dziś jako kapitalista i bogacz nieraz kłopotczy się, gryzie i martwi, znalazł wprawdzie złoto, ale natomiast utracił swobodę umysłu.

Poczem Bagnette nas opuścił.

— Tak, tak, rzekłem, nowy przykład człowieka, który nie zaznał szczęścia.

Joanna patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Rzeczywiście ksiądz Plautin mówił słusznie. Szczęście mieści się przeważnie w tej formułce religijnej: „Kochajcie wzajemnie jedni drugich“.

— W każdym razie majątek nie da tego szczęścia.

— W tym razie miał słusność Hugues Myrtil.

— Hugues Myrtil?

— Jaktó Joasiu, nie znasz historyi Hugues Myrtil?

— Nie.

— Więc posłuchaj.

X.

Hugues Myrtil.

Hugues Myrtil urodził się na Południu i był bardzo bogatym. Hugues chciał być poetą. Bogacz i poeta, wypadek bardzo rzadki, co też mocno zawróciło mu głowę. Marzył o stancyjce

na siódmym piętrze, o ładnym pokoiku, w którym znajdowały się łóżko żelazne, etażerka, na której mógłby ułożyć ulubione dzieła, stół, na którym leżałyby pióra, papier rozmaitego gatunku, na którym pisałby długie, piękne wiersze. I właśnie kiedy chciał jechać do Paryża, aby używać owej poetyckiej sławy, dano mu wielki salon tapetowany, w którym podłoga była froterowana i leżały skóry tygrysie; zamiast zwykłej, pospolitej etażerki miał olbrzymią bibliotekę pełną dzieł, których nie śmiał dotknąć; zamiast sosnowego stolika wspaniałe biuro z drzewa różowego, ale kiedy usiadł na wielkim, wyścielanym fotelu, umoczył pióro w kałamarzu, owe świetne rymy jakoś nie płynęły — gabinet wogóle był bardzo pięknym, muza jednak zawstydzona tym zbytkiem nie śmiała zejść.

To też zamierzył opuścić ów wspaniały gabinet, gdy niespodzianie otrzymał list, w którym donoszono mu, że jego cały majątek utonął w kieszeni bankiera, który uciekł,

— Niech będzie Pan Bóg błogosławiony, zawołał Hugues, dowiedziawszy się o tej nowinie, jestem wreszcie zrujnowany!

I szybko biegnąc, dostał się na siódme piętro, gdzie się zabrał do pracy.

Umoczywszy pióro w kałamarzu, pisał śmiało wesoło; wielka szkoda, że ta świetna improwizacja nie została zachowana do naszych czasów.

Zaledwie skończył, jakieś dziecko przyniosło i podało mu depeszę.

Jeden z jego wujów kończył życie, a właściwie konał i trzeba było koniecznie, aby się z nim zobaczył przed śmiercią.

Hugues miał dobre serce. Wyjechał natychmiast, nie myśląc, że jego wuj był olbrzymio bogaty, że po jego śmierci będzie dziedzicem wielkiej fortuny.

Skoro przybył, wuj już dogorywał, a ponieważ w tej wsi nie było doktora, rzekła mu matka:

— Idź i poszukaj lekarza.

Hugues pojechał. Lecz zamiast co prędzej dostać się do miasta, trzeba było przehyć mały lasek, w którym całymi dniami śpiewały ptaszki. Na nieszczęście Hugues słuchał, a potem nie mogąc się oprzeć nadzwyczajnej chęci, położył się na murawie i zaczął pisać wiersze.

Noc zapadła, a on zapomniał i o wuju i o lekarzu i za powrotem biedny człowiek zamknął już oczy, czyniąc go jeneralnym spadkobiercą. Poeta był niepokieszony.

— I to ja go zabiłem, mówił płacząc jak dziecko. Ale dlaczego rozpaczać?

Wuj umarł, talary są w worku, potrzeba je zabrać.

Myrtil powrócił do Paryża, czując śmierć w piersiach.

Bywaj zdrowa stancyjko, stole bielutki, adie muzo, bo z pewnością nie zejdziesz ku niemu teraz, kiedy jest bogatym.

Myrtil przeklinał majątek i chciał go pozbyć się w jakikolwiek sposób, zaczął tedy pieniądze wyrzucać przez okno. Kupił akcye — towarzystwo wypłaciło mu je w trójnasób. Powierzył pieniądze bankierom — ani jeden nie uciekł za granicę, zaczął grać i wygrywał olbrzymie sumy, pożyczał przyjaciółom — wszyscy mu rzetelnie oddawali. Zrozpaczony Myrtil przeklinał ogólną uczciwość, która mu ciążyła, wreszcie nagle powziął myśl:

— Teraz wiem, w jaki sposób potafię się zrujnować.

Zrealizował całą fortunę, za połowę kupił teatr w Paryżu i zamianował dyrektora, któremu przeznaczył nadzwyczajną gażę z warunkiem, aby dawał wyborowe sztuki, jak Rudolfa Darzens, Laurent Taillade; za drugą połowę założył drukarnię, aby wydawać dzieła bez względu na cenę, autorów i poetów nieznanych a utalentowanych.

I nieco ulżywszy sobie tym sposobem, wyjechał z Paryża. Za drobną kwotę, jaką pozostała mu, wynajął stancyjkę w oberży stojącej na pustkowiu. Wtenczas z sercem przejętem niezwykłą radością zaczął pisać wiersze.

Niestety jego szczęście nie trwało długo, było przemijającym marzeniem. Listy zaczęły go prześlą-

dować. Naprzód dyrektor pisał, że teatr ma nadzwyczajne powodzenie, jest ciągle zapelniony po brzegi; zaś drukarnia nie mogła wydołać robotom, które jej narzucano.

Rezultatem tego było złoto — złoto sypało się dla nieszczęśliwego Myrtila.

. Każdego dnia poczta przynosiła stosy banknotów, majątek wzrastał nadzwyczaj pospiesznie.

Hugues nie mógł wytrzymać. Zrozpaczony że nie może być ubogim, postanowił ulotnić się, zniknąć.

Zapełniwszy banknotami i złotem pokój, zamierzył zagłodzić się.

Taka była historia Hugues Myrtil, jaką mi opowiedziano w kraju słońca, nad morzem lazurowym, na wyspach złotych. Być może, że jest to bajka, ale sens moralny, że pieniądz nie stanowi szczęścia.

— Wątpię bardzo o tem, rzekła Joasia z wyrazem złośliwym.

— Mam dla ciebie list Joasiu, mówi Kamilla, gdyśmy powrócili do domu.

Joanna wzięła list i otworzyła:

— To ojciec przyzywa mię do Bollene, bo są goście.

Nazajutrz Joanna odjechała.

XI.

Odkrycie.

Każdego poranka o godzinie dziewiątej powóz pocztowy, kursujący między Orange i Bollene, przejeżdżał z hukiem około Montragon.

Zatrzymywał się zaś przed Hotelem de la Colonne, aby wysadzić lub przyjąć podróżnych, a potem znikał szybko na drodze między skałami.

Chciano, abym towarzyszył Joannie i Kamilli, ponieważ Kamilla także jechała do Bollene, żeby nie puszczać samej Joasi, chociaż nie była to wielka odległość, ale odmówiłem.

Nazajutrz, w dniu ich odjazdu, przebudziłem się w wysmienitym humorze.

— Czy nie pojedziesz z nami kuzynie, pyta Joasia.

— Nie, zostanę.

— To może odwiedzisz nas w Bollene.

— Być może, ale nie twierdzą ani tak, ani nie.

— Przyjedziesz, przyjedziesz Maurycy.

Prędko wypiliśmy czekoladę, Michał zabrał tłumoki do Hotelu de la Colonne, a my poszliśmy powoli.

Wkrótce ujrzelśmy omnibus. Sześć koni buchało parą ze zmęczenia, powóz był pokryty kurzem.

- Adieu Maurycy.
- Adieu Joasiu.
- Nie ucałujesz mnie?
- O z całą przyjemnością.

Joanna i Kamilla były jedynemi pasażerkami; zamknąłem drzwiczki.

Kuferki już ustawiono na imperialu *), fofrys rozwinął bat, obdzielając nim konie i omnibus potoczył się.

Pozostałem sam na drodze.

Wówczas coś dziwnego zaszło we mnie. Czułem się nagle tak nieszczęśliwym, jak ten samotny kamień na drodze i stało się to niespodzianie, bez powodu, bez przyczyny.

Zdawało mi się, że zostałem sam w życiu, bez przyjaciela, bez przewodnika, bez pomocy i jakaś czarna melancholia czy rozpacz zawładnęła moim umysłem i ukazały mi się łzy w oczach.

Czegoś się przeląknęłem.

Ale czego nie wiedziałem.

Życie mię przerażało. Zdawało mi się, że umrę, nagle bowiem strapienie zlodowaciło moją krew i na chybił trafił, bez myśli, machinalnie, skierowałem się ku kościołowi, ja, com się nigdy prawie nie modlił.

Właśnie wychodził ksiądz Plautin po odprawieniu mszy.

*) Tak się nazywa górna platforma omnibusu.

— Czy jesteś chory? Co tobie? Chodź.

I zawracając się z drogi, wprowadził mię do zakrystyi.

Nie wiedziałem kiedy rzuciłem się na fotel i zacząłem płakać jak dziecko.

Długo płakałem.

Ksiądz Plautin usiadł przy mnie i jak matka uspokaja dziecko słodkimi wyrazami, on mię równie uspokajał.

W mojej głowie panował jakiś chaos niezwykły, w moich uszach szumiało, myśli zebrać nie byłem w stanie.

Nakoniec powoli uspokoiłem się i wtenczas dopiero usłyszałem, co mówił do mnie zacny proboszcz.

— Biedne, biedne dziecko! Miałem zupełną słuszność, uważając cię za chorego. Ale teraz już wyzdrowiałeś. Egoizm rozsadził twoje serce, a uratowały je łzy.

— O panie Plautin, jestem nieszczęśliwy.

— Dlaczego jesteś nieszczęśliwy? Czy możesz mi powiedzieć?

— Alboż wiem.

— Dobrze, czy chcesz, żebym ci wyjaśnił, dlaczego jesteś nieszczęśliwy? Dlatego, że serce twoje puste, moje biedne dziecko, puste aż do szpiku, puste jak purchawka. Opróżniłeś serce na korzyść twojego umysłu, jak to czynią wszyscy poeci, twoi

bracia po piórze. Ten piękny zawód, jakiemu oddajesz się Maurycy, jest zawodem bawienia głupców i drwienia z samego siebie. Ale to już skończyło się, ja ci to mówię, skończyło się obecnie. Łzy twoje zbawiły cię. Staniesz się lepszym. A dowód..

— Dowód?

— Jest ten, że jesteś zakochany w twojej kuzynce.

— W mojej kuzynie?

— Tak, kochasz Joasię. I dziwi mię niezmiernie, że tego wprzód nie zrozumiałeś. Już od dawna wiedzieliśmy o tem, ja i twoja siostra. Nie potrzebujesz robić tak zdziwionej miny. Niema w tem nic złego. Ale nie trzeba zwlekać Kochać jest dobrze, a żenić się lepiej. A ponieważ obecnie nie mogę cię puścić samego, chodź ze mną, wypijemy razem śniadanie.

Było też to śniadanie cudowne.

Pozbywszy się omdlenia moralnego, powróciłem na nowo do życia i śmiałem się, patrząc na promienie słońca, przeciskające się przez żaluzye, w sali pięknie umeblowanej spożywając wykwintne śniadanie.

Naprawdę odżyłem, przekonałem się, że życie jest piękne, zdawało mi się, że mam lat ośmnaście, powróciły mi illuzye młodości i apetyt.

Pocziwy proboszcz niezmiernie się tem cieszył.

— Powiedziano ci, że winogrona dojrzewają i owoce łamią gałęzie drzew. Głupi, kto tego nie zrozumiał. A zatem zerwij piękny owoc, który masz pod ręką, a jest on soczysty, za to ci ręczę.

O niezawodnie zerwę go i będę spożywał powoli jak prawdziwy smakosz. Stałem się zupełnie innym, pragnąłem się żenić, zdobyć dla siebie Joasię i uwieźć ją daleko. Nagle przyszło mi na myśl: A jak się ona na to nie zgodzi?

-- Owszem zgodzi się, zaręczam ci, rzekł proboszcz. Od roku o tem tylko myśli. Jesteś wyborny psycholog. Nie miałeś wielkich trudności, napisawszy tyle tomów. „Pochlebca“, którego bierze na fundusz młoda, siedemnastoletnia dziewczyna, także ciebie uwiodła i prowadziła za nos. Gdyby to widzieli twoi przyjaciele z Paryża, toby cię wyśmiali. Wy zaniedbujecie serce, zabijacie go swojemi umiejętnościami. Otóż tedy przekonaj się, jak działa serce. To jego zwykły odwet. Dumne jest, że nikogo nie kocha, zachowuje się biernie, naraz jednego dnia wybucha, małe to stworzonko staje dęba, z głową do góry, a potem płacze, następuje kryzys i potrzeba koniecznie Plautina, starego księdza, który sprowadza wszystko na właściwą drogę. Wzbudzaaz we mnie litość.

Potem dodał:

Przemysł 19

— Co jednak nie przeszkadza, że mię to niezmiernie cieszy. Powiedziałem już poprzednio, że cię ożenię, bo wiem, że się ożenisz.

— Tak jest i jak najprędzej.

— Cierpliwości, mój mały, nie rwijmy się. Na-przód tedy, co zamierzasz uczynić?

— Alboż ja wiem.

— Otóż to są zakochani w dzisiejszych czasach. I ja, z powołania ksiądz, muszę prowadzić twoją barkę. Piękną dałeś mi pracę, włożyłeś na kark zadanie nie lada trudne.

• Tak mówił z uśmiechem, a potem rzekł seryo:

— Czy masz jakie oszczędności?

— Ja?

I wydobywając pugilares, rzekłem:

— Pięćset franków, cały mój majątek.

— I z tem chcesz założyć gospodarstwo?

— Przecież zarabiam sześćset franków miesięcznie.

— To dopiero zarobisz, bo o ile wiem podałeś się o uwolnienie z redakcyi.

— Dość mi tylko przedstawić się, a będę je miał natychmiast. Potem mam moje prace, mam sztuki w teatrze, które grają. Mogę śmiało wyżywić moją przyszłą małżonkę.

— Przytem masz siostrę, która ci może ofiarować 2 lub 3 tysiące franków. Więc pod względem materalnym jesteś zabezpieczony. Przejdźmy do

drugiej kwestyi. Czy potrafisz być mężem poważnym, statecznym?

O mało nie zarumieniłem się. Ja mężem seryo, mężem statecznym? Już cztery lata blisko byłem nim przecież. Przyszła mi na myśl Małgosia.

Proboszcz zrobił minę seryo.

— Twoje milczenie jest wymowne; przenikam je. Czy już dawno jesteś z nią?

— Cztery lata, rzekłem spuszczać głowę.

— Ale... dzieci nie ma?

— Nie.

— Tem lepiej, obawiałem się..

— Kochasz ją?

— Bynajmniej. •

— Więc?

— Przyzwyczailem się do niej.

Za całą odpowiedź wy dobyłem depeszę, którą otrzymałem. Była to już piąta czy szósta, która brzmiała:

„Nudzę się, tęsknię i kocham.“

- Ten gorzej, rzekł Plautin.

Potem po chwilowem milczeniu:

— To bardzo źle, co wy tam wyrabiacie, wy młodzi ludzie, to źle, powtarzam bardzo źle. O nie trwóż się, nie będę ci prawil morałów. Wiesz, że jestem pobłażliwy. Wciągnąć kobietę do zakazanego moralnością związku jest grzechem. Bo sam dobrze rozważ, ta kobieta cię kocha, a ty nie mo-

żesz z nią przestawać całe życie, zmuszony zatem zostałeś do porzucenia jej. Porzucasz tedy Cóż pocznie ta nieszczęśliwa, której złamałeś życie? Czy miałeś serce i sumienie tak postąpić? To, coś uczynił, jest bardzo donośnego znaczenia.

Umilkł.

Ciągle wpatrywałem się w talerz ze spuszczoną głową i z roztargnieniem gniotłem gałkę z chleba w palcach. O bądźcie pewni, że w tej chwili przekonywałem się o mojej hańbie i egoizmie pierwszy raz od czterech lat. Myślałem też ze smutkiem o nieszczęśliwej Małgosi.

Ksiądz zaczął:

— Ale nie martw się, jeszcze nie wszystko przepadło. Bóg jest miłosierny. Ja będę się widział z tą nieszczęśliwą.

— Pan, pan, księżu proboszczu? Pan pojedziesz do Paryża i zobaczysz się z Małgosią?

— Dlaczegożby nie? Wszędzie, gdzie tylko znajduje się ludzka istota, zasługująca na pocieszenie, ksiądz powinien tam podążać i pocieszać. Czy może załatwisz sam tę sprawę lub też twoja siostra? Nie. Sam widzisz, że moja obecność tam konieczna. Pojadę jutro.

Obecnie zaś spiesz do Bollene jak najprędzej. Trzeba kuć żelazo dopóki gorące. Oświadczyć się, ożeń z łaską bożą. A teraz pójdźmy zobaczyć winnicę, bo już rozpoczęło się winobranie.

Książd Plautin powstał, wziął swój kij leszczynowy, kapelusz i brewiarz. Poszedłem za nim.

Zrozumiałem, że przyszła dla mnie chwila stanowcza, że należało coś postanowić. Dwie drogi przedemną, droga błotnista i ponura mojej przeszłości i ścieżka jasna, kwiecista mojej przyszłości.

Nie wahałem się wcale w postanowieniu, miałem przewodnika, który prowadził mię za rękę.

Rozpocznijmy nowe życie, zapomnijmy o dawnych błędach

Proboszcz mię zatrzymał, byliśmy w miejscu, na którym kilka kobiet pracowało w winnicy

XII.

Zgodzenie się.

Z Mondragon do Bottene, droga wiedzie u podnóża niewielkiego pagórka, porośłego krzakami winogrodu.

Omnibus przejeżdża szybko, przesuwa się około wiosek, folwarków, zamków i zwykłych domów.

Droga coraz przyjemniejsza, wygodniejsza, przechodzi koło koszar: „żandarmeryi narodowej“.

To Bottene.

Widać stuletnie drzewa nierówno sadzone, dalej hotel Jardin, przy którym zatrzymuje się dyliżans — niedaleko stąd most na rzece Lez.

Wszyscy wysiadają.

Gdzie się mam zwrócić?

Pytam: Fabryka Savind?

— O, jeszcze dalej. O dwa kilometry stąd, na drodze od Luze.

— Jeżeli pan sobie życzysz, mówi konduktor omnibusu, sam tędy będę przejeżdżał. Wysadzę pana przed samymi drzwiami.

Zgodziłem się.

Tymczasem nadjechał jakiś pan z Tilbury, był to handlarz oliwą i on mi również zaproponował to samo.

Wolałem jechać lekkim powozikiem. Posiadał on fabrykę po drugiej stronie mostu i wkrótce też rozmówiliśmy się bardzo szczerze. Opowiadał mi o swoim dzieciństwie, o swoim małżeństwie, o powodzeniu w przedsiębiorstwie. Dowiedziałem się wiele szczegółów co do fabrykacyi, o których wcale nie miałem pojęcia.

— Jestem zupełnie szczęśliwy, zupełnie. Życie jest głupie, Jesteś pan młodym i nie wiesz co masz ze sobą zrobić. Trzeba brać wypadki jakimi są i wybrać co najlepsze. Moja żona dogląda fabryki, prowadzi książki handlowe i korespondencyę. Ja mam swoje osobiste zajęcia.

Trzeba być to tu, to tam. Zawsze jestem wesoły i zadowolony. Dziś byłem w Luze. Przyby-

wszy poszedłem do kawiarni del' horloge. Był tam mój przyjaciel Fontouse. Piliśmy absynt, paplaliśmy i opowiadali nowiny. Potem zasiedliśmy do śniadania. Zawsze się ma wyborny apetyt przy życiu pracowitem. Człowiek się śmieje i z rozkoszą wychyla szklanekę po szklance. Wieczorem powrócę. Miałem kilka sprawunków do załatwienia, jutro na nowo rozpoczynam to samo. Ale oto i pańska siedziba. Do widzenia.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, on zaciął konia i szybko odjechał.

Ja zostałem sam na drodze, naprzeciwko małego, białego domku, z okiennicami zielonemi, z niewielkim ogródkiem przed drzwiami. Na prawo i na lewo domy i wielka budowla z ogromnym, dymiącym, kominem.

Popchnąłem drzwi i zadzwoniłem.

— Maurycy!

Usłyszałem czyjś głos wesóły.

I Joanna chwyciła mię za szyję, jakby mnie z rok niewidziała.

— Chodź! Chodź Maurycy! i przy tych słowach zlekka popchnęła mię do salonu.

— Mamo! Ojczy! To Maurycy!

Mój Boże, śliczny salonik. Czuć było obecność kobiety z wyszukanyim gustem. Wcale nie był to salon prowincjonalny.

Fortepian był ustawiony ukośnie, na boku stała etażerka pełna nut. Mały stoliczek, kanapa, fotele, wszystko na odpowiednich miejscach.

Na ścianach kilka obrazów. Przybliżyłem się ujrzałem mój portret. Jakiż to zaszczyt.

Drzwi się otworzyły. Naprzód weszła moja kuzyna, drobnej postawy kobieta i uściskała mię. Potem mój kuzyn, wysoki, chudy, z wąsami zakręconymi, z powierzchowności podobny do wysłużonego oficera.

— Bardzo grzecznie z twej strony, żeś przyjechał. Przed kilku dniami spodziewaliśmy się twojego przybycia.

Zaczęła się rozmowa o rodzinie, o tych dalszych osobach, o tych których wcale nie znałem. Była to dyskusya złożona z wspomnień, ostatnia możliwa powiedzieć rozmowa o przeszłości.

Wydobyto album, w którym znajdowały się figury nieznane, dziwne, komiczne, prawie wszystkie moi kuzyni lub kuzynki.

Ale zaledwie że na nie spojrzełem. Tą, która mię najbardziej interesowała była Joasia, w rozmaitych porach swego życia malowana, a zawsze piękna.

Joasia w szóstym miesiącu życia na fotelu, zupełnie obnażona.

— Proszę nie patrzeć, wołała Joasia.

Potem jako dziewczynka przyjmująca komunię. Dalej jako elewka klasztoru, z oczami spu-

szczonemi, wreszcie Joasia w szesnastym roku życia, już jako młodzianka kobieta. Nakoniec Joasia dzisiejsza, na którą spojrzawszy wyszeptalem sam do siebie: moja żona.

Nagle usłyszano turkot powozu, który zatrzymał się przed domem.

Odezwał się dzwonek.

Przemyśl, _____/_____ 19

— Przybyłeś w samą porę mój kuzynie, odezwała się pani Savin, mamy dziś proszony obiad; jeden z naszych przyjaciół w Avignonie przywiózł nam swego wnuka. Ale niech cię to nie zraża, wszak należysz do rodziny.

Dlaczego zaraz przyszło mi na myśl, że ten wnuk jest kandydatem do ręki Joasi? Tajemnica.

Patrzyłem na Joasię, była czerwona jak wiśnia, usiłowała co prędzej zamknąć swój album, zrozumiałem, że się nie myliłem.

W tej chwili otworzyły się drzwi od salonu, zameldowano p. Danolle i ujrzałem go, niskiego wzrostu starca, z postawy podobnego do notaryusza z komedyi, a nadto młodego człowieka wysokiego, chudego, z wąsami wykręconymi do góry, aż po oczy.

Zaraz za pierwszym spojrzeniem znienawidziłem obu, zwłaszcza, gdy się ów młody zbliżył do mnie mówiąc:

A, pan Fraisnil, autor „Pochlebcy“. Niezmiernie mię cieszy poznanie się z panem.

Śniadanie było smutne

Słuchałem, nic nie mówiąc, gdy notaryusz swym nadętym głosem opowiadał i chwalił przymioty swego wnuka, dodając, że ukończył Szkołę Centralną jako pierwszy uczeń.

Ów pierwszy elew, także starał się przypodobać swojem znalezieniem się. Mówił, a pan i pani Sawin, słuchali go z otwartymi ustami.

Byłem bardzo nieszczęśliwy. Jakaż niezwykła zmiana i rozczarowanie.

Jednakże jedno mię pocieszało, wyraz twarzy Joasi. Była blada jak śmierć, ona taka zawsze wesła, nie otworzyła ust, chyba tylko jedząc, a co gorsza od chwili do chwili rzucała mi spojrzenia, w których przebijała się jakby prośba o przebaczenie, czy też boleść. To mi przypomniało słowa proboszcza i myślałem w duchu: Jeszcze wszystko nie przepadło *dał Bóg zły mi!*

Zdawało mi się, że śniadanie ciągnie się wiek cały. Prawie nie widziałem końca. Półmiski podawano za półmiskami, po winie starem wino młodsze. Byłbym z przyjemnością piaskiem zasypał oczy konkurentowi.

Nakoniec wstano od stołu i podano kawę.

— Pójdziemy obejrzeć fabrykę, rzekł kuzyn.

I to zwiedzanie, które mie przedtem tak bardzo interesowało, teraz wydało mi się nieznośnem. Trzeba było wysłuchać o piecu, który świeżo zbudowano

w jaki sposób urabia się ziemia, dalej jakie są przyrządy, przypatrzeć się wykonywanej w tej chwili mieszaniu koniecznych materyałów, dalej oglądać jak się to układa, gładzi, jak się urabia w formach, aż do stanu pełnego wysuszenia.

A pierwszy elew, ciągle zadawał pytania, żądał wyjaśnienia, udzielał rad, wynurzając życzenie: „Skoro ja tu będę, wszystko pójdzie inaczej“.

Nakoniec kiedy zaczęto wydobywać cegły rozpalone do czerwoności, zwiedzenie skończyło się i powróciliśmy

Minęła blisko godzina, wypito kilka butelek piwa i notaryusz odjechał ze swoim wnukiem, obiecując wkrótce powrócić.

Nakoniec skoro ujrzałem oddalający się powóz, odetchnąłem swobodniej. Był to ciężar ugniatający moje serce.

Mój kuzyn poszedł do fabryki, moja kuzyna do altany.

Zostaliśmy sami w małym saloniku, ja i Joasia.

Jakże długie i bolesne było milczenie w jakim spędziliśmy ten czas w małym salonie. Machinalnie przewracałem karty albumu. Joasia brząkała na fortepianie. Jakże długie i bolesne było nasze milczenie.

Nagle Joasia odwróciła się zaczęła mówić, a było to jakby potwierdzenie moich domysłów.

— Nie mylisz się wcale Maurycy. Ten młody mężczyzna jest pretendentem do mojej ręki.

— I kiedyż ślub nastąpi?

— Nigdy, odpowiedziała Joasia.

A kiedy nic na to nie odrzekłem, zaczęła:

— Tak jest, nigdy. Wiem, że sprawi to przykrość mojemu ojcu i mamie. Pragną mię wydać za mąż jak najprędzej; mój ojciec coraz bardziej się starzeje i traci siły, potrzebuje więc koniecznie kogoś młodego do kierowania fabryką. Kochają mię bardzo i dlatego są pewni, że się poświęcę; nie jest to zięć, którego by pragnęli, nie jest to mąż, który zapewniłby szczęście ich córce, to tylko wspólnik. Nie żeni się on ze mną, ale z fabryką,

Wypowiedziawszy to umilkła, po chwili jednak rzekła:

— To już czwarty kandydat od roku jak opuściłam pensję w klasztorze. Czwarty, któremu odmówiłem; nie chcę iść za mąż.

— O, Joasiu!

— Nie, nie pójdę zgoła za mąż, albo raczej oddam moją rękę temu, który pozyska moje serce.

W tej chwili uczulem zawrót głowy; nie poznaję się wcale; zaniedbałem wszelką ostrożność i jeżeli odezwałem się, to wbrew mojej świadomości umysłowej:

-- A gdybym zażądał twojej ręki?

— Ty?

I zaczęła się we mnie wpatrywać, jakby dla zbadania mojej właściwej myśli, wreszcie rzekła pospiesznie:

— Ciebie w tej chwili wzięłabym za męża.

Potem jakby te wyrazy wyczerpały jej siły, oparła głowę na rękę i zaczęła płakać.

Były to łzy radości, albo może łzy żalu, że się to ziścić nie będzie mogło? Wreszcie nie wiem.

Uszanowałem jej łzy. Pozwoliłem jej płakać długo, bardzo długo, a później głosem łagodnym, słodkim jakim się matka odzywa do chorego dziecka, wyszeptałem:

— Kocham cię Joasiu, od chwili jak cię tylko ujrzałem. Nie mogłem sobie z tego zdać sprawy, ale zrozumiałem wczoraj co się we mnie dzieje, gdyś odjechała. Kocham cię bardzo, szczerze, serdecznie i wiem, że jestem przez ciebie kochany cokolwiek. Czyż życzysz sobie, abym się oświadczył twemu ojcu?

— Tak, odpowiedziała tak łagodnie, tak słodko, a przytem tak cicho, że zaledwie posłyszałem jej słowa, co mię przejęło nadzwyczajną radością.

Wnet jednak się uspokoiła, podniosła głowę, kierowała swój wzrok na mnie, miała w oczach łzy.

— O, i ja cię kocham Maurycy. I przysięgam ci, że pójdę za męża, ale tylko za ciebie.

W minutę później znalazłem się w biurze jej ojca.

— Kochany kuzynie, rzekłem, wyda ci się to zapewne ekscentrycznem, ale jest szczerem. Kocham Joasię, ona mię także kocha, czy zechcesz dać mi ją za żonę?

— Mój Boże, Maurycy, czy to być może? Mój Boże, mój Boże, któżby temu uwierzył. Nie zostajesz tu zapewne, bo twoja pozycya powoła cię do Paryża. I mówisz, że cię ona kocha? Do licha, dlaczego by nie miała cię kochać. To ciekawe! ciekawe! Więc zostanę sam w swojej fabryce? Nie mam nikogo. Wreszcie jeżeli cię ona kocha... Na koniec niech się dzieje co chce. Bierz ją Maurycy, bierz i uczyn szczęśliwą. Wszak tak? Maryo! Maryo! Maurycy pragnie poślubić Joasię, ja się na to zgadzam. Kochają się oboje. O mój Boże, któżby o tem wątpił. Joasiu słuchaj. Czy go kochasz? Czy to prawda? A więc ucałujcie się moje dzieci, ucałujcie się. O, życie jest śmieszne. Któżby w to uwierzył. Zresztą tem lepiej, tem lepiej!...

I mówiąc to poczciwy człowiek rozplakał się.

Pani Savin także płakała.

Trzymałem w objęciach Joasię i całowałem jej oczy szepcząc:

— Droga, kochana żonko!

XIII.

Pierwszy przeblysk szczęścia.

Proboszcz powracał z Paryża, czekałem na niego na dworcu kolei żelaznej.

Wnet też po przybyciu pociągnął mię na probostwo.

— I cóż? zapytałem.

To pytanie paliło mi usta. Od pięciu dni jak wyjechał, ledwie żyłem.

— Wszystko uporządkowane, rzekł.

— Widziałeś się pan z Małgosią?

— Widziałem.

Poczem umilkł. Nie śmiałem pytać go na nowo, mianowicie co zaszło między nim a Małgosią.

Nakoniec proboszcz odezwał się poważnym, prawie surowym głosem:

— To dzielna dziewczyna. Skoro mię zobaczyła wchodzącego, niezmiernie się zdziwiła. Później, gdy jej oświadczyłem, że jestem proboszczem w Mondragon, niezmiernie zbladła i krzyknęła spoglądając na mnie przerażonym wzrokiem:

— Maurycy nie żyje!

— Biedna Małgosia, rzekłem nie mogąc się powstrzymać.

Proboszcz spojrział na mnie i rzecze:

— O, tak biedna, nieszczęśliwa Małgosia, powinieś mocno ją żałować, bo rzeczywiście, po-

wtarzam ci po raz setny, ty winien jej nieszczęściu. Jestem stary, a codziennie dowiaduję coś nowego i kiedy rozpatruję się w życiu, kiedy słyszę o tej nędzy, o tym egoizmie, o nikczemnościach, błogosławię mój wiek i mój stan, że jestem kapłanem i że ta suknia przeszkadza mi, a raczej dopomaga do utrzymania się w czystości myśli i uczciwym sposobie życia.

Ale ustawicznie papłę ci o moralności, daruj mi. Otóż Małgosia ujrzawszy mię niezmiernie się przeraziła. W końcu jednak zdołałem ją uspokoić i wręcz powiedziałem jej, że żyjesz i że zamierzasz się ożenić.

Biedne dziecko!

Długi czas pozostała jakby osłupiała, jakby życie uszło jej wraz z westchnieniem. Poczem dodała:

— Tak się musiało skończyć. Jak tylko dowiedziałam się, że wyjeżdża, jak tylko mi oświadczył, że pragnie odwiedzić siostrę, byłam pewna, że to nastąpi.

Chciałem jej perswadować i wypowiedzieć coś niecoś morałów, ale rzuciła się gwałtownie mówiąc:

— Jestem niezmiernie panu wdzięczna za jego łaskawość, za jego przyjaźń i pociechę, jaką mi udzielić pragniesz, ale nie czuję abym była zła w gruncie serca. Ja niczego nie żądam już od życia. Mówił mi, że mię kocha, byłam też gotowa do

wszelkich ofiar dla niego. Czy pan sądzisz, że będzie szczęśliwy w tym nowym związku?

— Najniezawodniej.

— Więc rzecz skończona, nie mówmy więcej o tem.

Chciałem tedy wsunąć jej w rękę nieco pieniędzy, ale zarumieniła się i oburzyła:

— Mówiłam, niczego nie żądam i niczego zgoła nie potrzebuję.

Zrozumiesz zapewne, że nie mogłem nastawać aby coś przyjęła. Wreszcie bądź spokojny. Porozumiałem się z pewnym moim znajomym, który przyrzekł nad nią czuwać i ona nigdy nie będzie w potrzebie.

Kiedy mi to proboszcz opowiadał, mimowolny popłynęły z moich oczu. Nieszczęśliwa, biedna Małgosia! O, zaprawdę, proboszcz ma słuszość. To dzielna dziewczyna. Ale życie ma swoje dobre i złe strony, wymagania i warunki. Mówiąc seryo nie powinienem, nie mogłem się żenić, ale też nie powinienem i nie mogłem utrzymywać dalszego z nią stosunku.

Ona się wreszcie pocieszy.

Proboszcz uszanował moje milczenie, badając wyraz mej twarzy.

Nakoniec rzekł:

— Kiedyż tedy się żenisz?

— Jak najprędzej.

— To się rozumie.

— Wszystko się przygotowuje, nawet zajęto się już wyprawą. Należy mi tylko wyjechać do Paryża, dla wynajęcia pomieszkania.

— Wcale niepotrzebnie.

— Jak to?

— Tak. Mam tam przyjaciela, który się wszystkim zajmie, jest to dzielny proboszcz z Auteuil. On wynajmie odpowiedni apartament, umebluje go i możecie na śmiało jechać. Niech to będzie podarunkiem ślubnym odemnie.

— Ale księżę proboszczu...

— Nie kłopotcz się. Mój przyjaciel zna się doskonale na komforcie paryskim. Nie chciałem właśnie, abyś wracał do Paryża, dlatego apartament wynajętym będzie w Auteuil. Znam cię doskonale. Gdybyś pojechał do Paryża, wątpię bardzo czybyś powrócił z tamąd.

Roześmiałem się.

— No, nie śmiej się. Znam cię, a teraz daj mi pokój, zrobiłem co chciałeś i ja potrzebuję wyjechać, odezwał się poczciwy proboszcz.

Powróciłem do domu.

— Twoja siostra wyjechała, zawiadomiła mnie Paulina, jest obecnie w Bottene.

Była to nieustanna podróż z Mondragon do Bottene, to z Bottene do Mondragon.

Cóż ja tn będę robił?

Pojadę tam także.

W Bottene zastałem wszystko w poruszeniu. Na stołach i stolikach leżało pełno paczek, różne materye i bielizna rozmaitego rodzaju. Aż do biura p. Savin założona była droga pakami, skrzyniami.

Gdyby to trwało długo, niepodobnaby było przejść, dostać się do pokojów.

— Patrz Maurycy, to dary i rozmaite prezenta nadesłane mi przez przyjaciół, rzekła Joasia.

Musiałem towarzyszyć Joasi i przepatrywać owe dary, których mnogość była nieprzeliczona.

Potem znowu pani Savin żądała odemnie rady co do obrusów i serwet.

Kamilla także mię szukała.

— Czy wolisz kolor różowy czy niebieski serwisów stołowych?

— Alboż ja wiem, ja się na tem wcale nie znam. Chciałem się koniecznie uwolnić, bo byłem spragniony jedynie rozmowy z Joasią. Ciągle biegalem za nią, chwytając na chwilę w jakim kącie, ale ona nie mogła usiąść około mnie, tak była zajęta, patrzyłem tylko, badałem jej humor. Ale niestety, chwile te były bardzo krótkie.

Oto szwaczka przyniosła suknię białą. Musiałem co do niej wyrazić moje zdanie. Znajdowałem wszystko bardzo pięknem, uroczem, godnem uwielbienia. Alboż ja wiem co mi tam przychodziło do głowy.

Nakoniec, powoli, powoli, porządek się ustalił. Napelniono ogromną skrzynię bielizną stołową i wszystkimi serwisami. Stolarz z fabryki cały dzień miał tu zajęcie.

Słowem, wszystko było gotowe, suknia biała leżała na stole. z bardzo lekkiej materyi zrobiona, nawet tłumoki były gotowe, można było wyjeżdżać. Za cztery dni miał nastąpić ślub.

Cóż ja w tym czasie myślałem?

Oto wcale nie starałem się o powiększenie mej garderoby, przeważnie zaś zaniedbałem postarać się o garnitur ślubny.

Wnet też telegrafowałem do mego krawca, aby mi przysłał odwrotną poczną wykwitny strój.

Teraz trzeba było na to czekać.

A jak też nie będzie gotowym w terminie oznaczonym?

— Tem gorzej, rzekłem śmiejąc się, wezmę ślub w marynarce.

Nakoniec chciałem pomówić z Joasią o tym przedmiocie. Ale jej matka ciągle ją wzywała do siebie, rozmawiała z nią, szeptała. Co ona mogła jej mówić? Starałem się podsłuchiwać, ale unikało mnie, uciekano przedemną.

Kiedy matka przestała z nią rozmawiać, brała ją ze sobą Kamilla, to znowu ojciec.

Wszystko to zaczęło mi się ogromnie przykrzyć. Czyliżby układali spiski przeciwko mnie? Muszę choć na chwilę pochwycić Joasię.

Jednakże usłyszałem odpowiedź:

— Dobrze, później, nie teraz, będziesz ją miał przecie przy sobie przez całe życie.

Wreszcie zastanowiłem się głębiej i uznałem słusność uwagi.

Zajmował mię jutrzejszy dzień, termin nadesłania garnituru.

Na szczęście krawiec okazał się punktualnym. Z garniturem przybyli i wszyscy kuzyni, których portrety widziałem w albumie i goście.

Pierwszym był ksiądz Flautin.

— Ja cię ożenię, dam ci ślub, jak powiedziałem.

Rzeczywiście spełnią się jego życzenia, wcale się na to nie skarzę.

Ach, jakaż to była noc. Nie mogłem zmrzyć nawet oka. Słyszałem wszystkie godziny. Staralem się coś napisać. Szaleństwo. W wigilię ślubu tworzyć jakieś epizody życia. Ani myśleć o tem

Nareszcie zaczęło dzień. Mój Boże, jak to trwało długo, ukazał się leciutki, biały promyk światła — słońce weszło. Pobiegłem do okna zobaczyć jaka pogoda, jaki czas, czy piękny, czy ponury, mglisty? Jak na szczęście dzień zapowia-

dał się prześlicznie. Obawiałem, się aby deszcz nie padał.

Piąta godzina.

Jeszcze wszyscy zapewne śpią.

Zacząłem przechadzać się po pokoju. W całym mojem życiu nie byłem nigdy tak wzruszony.

Pierwszy raz dopiero. Przypomniałem sobie jedną noc, podczas której również nie mogłem spać i tak samo jak teraz spacerowałem po pokoju, niespokojny, rozdrażniony. Była to noc przed moim pojedynkiem. I przenosząc się myślą w ową chwilę minionej przeszłości, zdawało mi się, że i dziś także bić się będę. Miałem już sekundantów, przeciwnik czekał w gotowości, tym przeciwnikiem była moja droga Joasia Biedna mała! O, niegdyś w dawniejszych czasach, gdy jeszcze skakała na moich kolanach, a ja jej opowiadałem ciekawe historye, nie byłem tak okropnie poważnym człowiekiem. Dwadzieścia sześć lat, dwadzieścia sześć lat, to przecież jeszcze nie starość, nie wiek zgrzybiały. Mam prawie dziewięć tylko lat więcej niż moja przyszła małżonka.

Moja małżonka! Moja małżonka! Jakże te dwa wyrazy rozkosznie dźwięczą w moich uszach: Moja żona!

Wreszcie usłyszałem ruch na dole. Jestem zbawiony!

Zeszedłem. Wszyscy już siedzieli w sali jadalnej. Była pełna po brzegi. Śmiano się, a nawet płakano, ale z radości.

- Nareszcie zbudziłeś się leniuchu! — wykrzyknięto na mój widok.

Ja leniuch, gdym przez całą noc nie zmrudył nawet oka?

Ale czas już, nie trzeba się ociągać, należy ubierać się do ślubu.

Włożyłem frak, zdawało się mi, że go pierwszy raz kładę w mem życiu. Tymczasem nie był to raz pierwszy; chociaż w tym w stanie w jakim obecnie się znajdowałem, był pierwszym przypominającym mi oczekiwane szczęście.

Jestem ubrany od stóp do głowy. Cały czarny i cały biały, posępny jak komisjoner pogrzebowy. Czyliż nie należało wynaleźć dla nowo-zaślubiającego się, jakiegoś garnituru daleko weselszego, nie tak poważnego, jakiś strój przypominający wiosnę życia.

Chcę wejść do pokoju Joasi. Ale wydalono mię. Gdzież pójdę? Wszedłem do salonu, w którym goście czekali.

Otaczają mię dokoła, zasypują życzeniami. Są to kuzyni z owego albumu; ściskam ich za ręce, całuję poważniejszych. Są i bardzo młodzi, dzieci, które wskakują na kolana, depcząc po trzewikach.

Bardzo to miła rzecz rodzina, ale ma pewne nieprzyjemności, gdy zbyt liczna.

— Nowożeniec! Nowożeniec!

Ależ oto i narzeczona. Piękna, ach jak piękna, chciałbym ją pochwycić, biec, uciec z nią. Niepodobna. Załedwie mogłem parę słów przemówić do niej dzisiaj.

Nakoniec zajeżdżają powozy.

Pędźcie galopem!

W merostwie pan mer uważał za obowiązek przemówić do nowożeńców. Mowa jego krótka i bardzo subtelna, przypominam sobie, że mówił coś o łączeniu się sławy i chwały z pięknością. Sławą miałem być ja.

Pan mer jest bardzo grzeczny.

Uściskano się przy życzeniach wszelkiej pomysłności.

Wsiadamy do powozu i jedziemy do hotelu. Uczta weselna czeka. Spożywamy ją i śmiejemy się. Właściwie jedzą goście, ja i Joasia nie jemy, ani nie śmiejemy się. Nie możemy nawet mówić.

Szczęściem czas upływa. Wybieramy się wieczorem do Paryża. Powoli usuwają się goście. Pani Savin najpierw zniknęła.

Wszystko gotowe w numerze hotelu.

Zdjąłem frak, aby włożyć marynarkę, Joasia zmieniła białą suknię na zwyczajną, codzienną.

Zajechał powóz.

Joasia płacze, żegnając się z matką, która głośno szlocha.

Potem żegnamy się ze wszystkimi.

— Na kolej de la Croisiere! wołam z radością

W tej chwili ujrzałem nadbiegającego księdza Plautina.

— Za pozwoleniem — rzecze — zapomniałem ci podać adres: Ulica Lafontaine 22. Auteuil.

To prawda, nie byłbym wiedział gdzie się obrócić. W szczęściu traci się nieraz przytomność umysłu.

XIV.

Powrót.

Z La Croisiere błyskawiczny zawiózł nas aż do Avignon. Byliśmy sami w naszym przedziale. Joasia siedzi naprzeciwko mnie i uśmiecha się.

— Mój Boże — mówi — tę drogę z La Croisiere aż do Avignionu ileż razy odbywałam. Znam wszystkie prawie stacje, wszystkie słupy telegraficzne. Ale zawsze płakałam jadąc tą samą drogą. Żegnałam zawsze Bottene, ojca i matkę, którzy mi towarzyszyli do klasztoru. A klasztor, to galery! Zdaje mi się teraz, że dopiero pierwszy

raz odbywam tę podróż. Mama siedziała tam, na twojem miejscu, zwykle była smutna, opuszczając mię, ale wstrzymywała się od łez. Ja płakałam swobodnie. Wiedziałam, że moje życie zmieni się i przybierze inną fazę. Dzisiaj także moje życie zmieniło się i nowe przyjmie kształty. Dzisiaj także pędzę ku nieznanemu miastu, ale jednak nie płaczę, przeciwnie, uśmiecham się, ponieważ ty ze mną jesteś, mój mężu.

— Kochasz mię bardzo Joasiu?

— Bardzo, nie powiem; gdybym powiedziała za nadto, toby jeszcze było za mało. Kocham cię jak dobrego Boga. Czy przypominasz sobie tę chwilę, w której ci grałam sztukę Wagnera? Biedny Maurycy, byłeś tak wówczas smutny, że ja to dostrzegłam, zrozumiałam. Jakże byłam szczęśliwą, gdyś mię ucałował, kiedy rzekłś do mnie:

— Będę twoim przyjacielem. O tak, będziesz moim przyjacielem, teraz i na wieki.

Jakże chciałem ucałować moją Joasię. Ale nie miałem odwagi. Doprawdy, nie miałem śmiałości całować ją w wagonie, przez który przesuwało się tyle ludzi. Zdawało mi się, że popełnię profanację. Ograniczyłem się na uściskaniu jej rąk.

Avignon!

Mamy do rozporządzenia pół trzeciej godziny. Gdybyśmy skorzystali z nich i zwiedzili Avignon?

Pozostawiliśmy nasze bagaże w bufecie i wychodzimy na obejrzenie dawnego miasta papieżów.

Joasia opiera się na mojem ramieniu, śmieje się, trzepie, papple i jestem dumny, że ją prowadzę, zdaje się, że zwracają na nas uwagę i mam chęć zawołać na całe gardło:

— To moja żona!

Tymczasem idziemy ulicą, na chybił trafił, to ona mię prowadzi, ona jest moim przewodnikiem, bo nigdy jeszcze nie byłem w dawnym mieście papieży.

Przechodzimy obok klasztoru. Ciągnie się wielki mur, jakby otaczał więzienie, w nim trzy okna i wielkie, masywne drzwi, na których widnieje krzyż i zdaje mi się, że czytam na tych olbrzymich podwojach:

Lasciate ogni speranza, Dantego.*)

Tutaj to była zamknięta moja Joasia. Zadrzałem, ale ona się roześmiała i jak zwykły więzień, pokazała język omszałym murom.

— Gdybyśmy poszli na obiad Joasiu?

— Zapewne. Sami we dwoje w wielkiej sali restauracyjnej, to paradne. Straszliwie jestem głodny.

Ona mię również prowadzi do wielkiej kawiarni.

*) Żegnajcie się z nadzieją.

Zamawiam skromne menu, bardzo skromne, prawdziwie paryskie i śmieję się zadowolony

Jakież to szczęście i trwać ma ono ciągle, do końca życia!

— Ale Joasiu musimy się spieszyć, bo się spóźnimy na pociąg.

Nie myślałem seryo o tem. Przybyliśmy w samą porę. Wagony były prawie puste, siadamy, zabierając dla siebie dwa kąciki. Ale Joasia nie chce siadać i pragnie przechadzać się po galeryi. Jest bardzo kontenta, a nawet klaszcze z radości w ręce, jak małe dziecko.

Muszę jej opowiadać o prowincyi i o Paryżu i inne rzeczy.

Nakoniec oto Walencya; godzina jedenasta. Joasia siada, Joasia ma chęć spocząć. Usadawiam ją na ławce, podkładam poduszkę pod głowę, okrywam i zapuszczam z obu stron franki.

— Dobranoc ci Joasiu!

— Dobranoc mój przyjacielu!

I zasypia.

Już tak późno, gdy się zbudziła; godzina 8-a prawdopodobnie. W Laroche jeszcze drzemie, obawiam się ją obudzić do śniadania.

Teraz otwiera oczy, podnosi się do połowy zastanawia gdzie się znajduje, później przypominając sobie, uśmiecha się, gdy mnie ujrzała. To

pierwsze zbudzenie mojej Joasi. Szybko przygładza włosy, poprawia suknię i jest gotowa.

— Paryż? — pyta.

— O nie, moja luba, dopiero Fontainebleau; spojrzysz, lasek,

— O!

Joasia wpatruje się szeroko rozwartemi oczyma. Opiera się na mojem ramieniu i zamysła się.

— Tam oto Berry, tu Sekwana. Tam dalej dworzec lyoński.

— Paryż, Joasiu.

— Tak?

Uciecha ogólna za przybyciem do Paryża koleją Lyońską. Ściśnienie serca na widok Mazas,*) ulica Lyon, dalej Bastylja! Joasia ciśnie się do mnie, gdy nas wiezie najęty fiakier.

Oto Boulevard, Opera, Champs-Elipsée, potem Trocadero, Auteuil: Joasia jest oczarowana.

Nareszcie ulica Lafontaine Nr. 22. To nasze teraźniejsze mieszkanie.

Wyskakuję z fiakra. Foryś znosi tłumoki.

Jest to antresola czeka na nas służąca.

Wchodzimy na schody, a tymczasem portier objaśnia właścicielowi:

— To są nasi nowi lokatorzy.

Otwiera nam służąca.

*) Znane więzienie.

— Sapristi! Ależ tu bardzo ładnie! Sala jadalna ze ścianami wyłożonemi dębem. Na stoliku obrus, jakby tu nas oczekiwano. Dalej salon, prawdziwe pieścidelko. Cały obity niebiesko. Pani domu jest blondynką, bardzo więc stosownie.

Tam moje biurko, ale prześliczne. Uwzględniono mój nieporządek, znalazłam je takim jak zostawiłem na ulicy Labruyere i kilka obrazów lekkiej treści, nie odpowiednich dla człowieka żonatego.

Dalej sypialnia, pokój toaletowy. Cudowne! Cudowne! Proboszcz z Auteuil umiał urządzić nam mieszkanie, musimy go odwiedzić.

Siadamy do stołu.

O mało nie wykrzyknąłem jak podczas zaręczyn z Joasią:

— Nareszcie jesteśmy sami, jesteśmy u siebie!

Śniadanie wyborne. Mamy kucharkę znakomitą.

Podawała nam kawę, koniak dla pana, a herbatę dla pani. To zbyt uczte. Jakim sposobem ta dziewczyna, nieznająca nas, mogła mieć pojęcie o naszych gustach? Jakim sposobem ten apartament, jest tak umeblowany jak sobie życzyłem? Najniezawodniej proboszcz Plautin jest wielkim człowiekiem i nie tylko przyjacielem, a jego przyjacielem proboszcz z Auteuil naprawdę cudotwórcą.

-- Chodźmy do mego gabinetu czy chcesz?

Ułożyła się na otomance, żeby się przedrzeć, a ja usiadłem przy biurku. O cudzie! Mam pod ręką rozpoczęty przed rokiem romans, rękopis leży na stoliku, jakbym go wczoraj na biurku pozostawił.

Czy mam pracować?

I wzięwszy pióro do ręki, piszę dalej, dokonczając zaczęty przed rokiem frazes.

Pióro biegnie szybko po papierze. Zaczynam się roznamiętniać. Piszę i piszę. W chwilę potem podnoszę głowę, Joanna śpi. Książka wysunęła się jej z ręki. Śpi, droga, jedyna, widzę zwolna falujące piersi, słyszę jej delikatny oddech. Bożyszczko moje!

Życie moje rozkosznie płynie obok tej drogiej istoty, a romans, który kończę, nie przypisuję sobie, ale jej, natchnieniu mej jedynej.

Moje życie ma jedyny cel, uczynić ją szczęśliwą. Pracuję, aby dać jej to, czego pragnąć ze chce, dotąd byłem nieco z b l a z o w a n y, przy niej zaczynam odżywać, moje istnienie, moja przyszłość zaczyna się od jej tu przybycia.

Podczas kiedy ona śpi, ja pracuję, stronica idzie za stronicą, piszę gorączkowo, pod wrażeniem nieznanem a tak lubem, rozkosznem. Wiem, że potrzeba pieniędzy, aby była szczęśliwą, aby jej nie brakło, wiem także, że jeżeli dzieło moje bę-

dzie piękne, będzie kontenta, uradowana moja luba pieszczotka.

Już było późno, gdy się nareszcie Joasia przebudziła.

— Czy ja spałam?

— Tak moja luba, spałaś. A ja pracowałem gorliwie w tym czasie.

O mój najukochańszy!

I przyciągnęła mię do siebie.

Uklękłem, ona pochwyliła moją głowę w swoje ręce, czułem na czole jej gorące pocałunki, na moich oczach i na moich ustach.

— Po obiedzie, jeżeli zgodzisz się, pójdziemy do lasku Bulońskiego.

— Tak, tak, pójdziemy tam, odpowiedziała klaszcząc w ręce. Pojdziemy w powozie we dwoje sami.

Obiad odbył się prędko.

Joasia szybko włożyła kapelusz i płaszczyk.

— Podaj mi Rozyno moją zarzutkę. Niech sprowadzą powóz otwarty.

I ręka w rękę, przytuleni do siebie, pojechaliśmy do lasku Bulońskiego; objechaliśmy w około jezioro Niebo było błękitne, drzewa rozwinięte darzyły rozkoszną wonią, leciutki cień od gałęzi zmniejszał upał dnia, Joasia zachwycona opierała głowę na mojem ramieniu. Trzymałem ją w obję-

ciu i czułem uderzenia jej serca i o ile mi się zdarzyła sposobność, całowałem jej karminowe usta.

Przejeżdżaliśmy około chińskiego pawilonu

— Czy nie chciałabyś, abyśmy coś zjedli?

— Nie, rzekła moja pieszczotka, i tak mi dobrze, że pragnę, aby to trwało jak najdłużej.

Blizko godzinę jechaliśmy po lasku, nie mówiąc do siebie. jedynie tylko myśląc o naszej miłości.

Nareszcie powróciliśmy do domu.

Już sługa nasza spała.

W pokoju na stoliku stała lampa, rzucająca różowawe światło.

Kochasz mię Joasiu?

— Nie tylko kocham, ale uwielbiam.

XV.

Biedna Małgosia.

Dziś po śniadaniu Joasia ubrała się w toaletę wizytową, toaleta była bardzo poważna.

— Czy wychodzisz Joasiu? Bezemnie?

— O, niedaleko, Rozyna będzie mi towarzyszyła aż do proboszcza w Auteuil.

I wyszła.

Zostałem sam, kończąc mój wielki romans, którego domagał się uporczywie mój wydawca.

O jedenastej Joasia powróciła. Była bardzo zamysłona.

— Co tobie, mój skarbie,

— Nic, nic. Siadajmy do śniadania.

A potem dodała:

— Ubieraj się, wyjdziemy z domu.

— Lecz co tobie, moja miła?

— Nic mój drogi.

— Kochasz mię?

— Jakże możesz pytać się jeszcze?

Ubrałem się.

Pewóz stał przy drzwiach. Joasia podała adres woźnicy, ale tak cicho, że foryś kazał go sobie powtórzyć dwa razy.

Gdzież mię wiezie moja pieśczoćka? Przejechaliśmy przez Paryż i przez roгатkę Saint-Ouen i powóz zatrzymał się pod murami nowego cmentarza.

— Ale Joasiu, gdzie mię prowadzisz?

— Chodź, chodź, odpowiedziała.

I wzięwszy ją za rękę, czułem, że jej ręka drżała.

Weszliśmy w aleję.

Joanna zdawała się wahać, zdawała się czegoś upatrywać, czegoś szukać.

Nakoniec znalazłszy, poprowadziła mię do świeżo usypanego grobu.

Spojrzałem i przeczytałem:

Tu spoczywa

Margot

módlcie się za nią!

Pobladłem.

Joasia patrzyła na mnie, a po jej twarzy płynęły łzy

— Wiem o wszystkim, rzekła. Proboszcz Plautin wszystko mi opowiedział.

— Jak to? Wiesz?

— Wszystko. Czyliż to nie lepiej, że nie masz przedemną żadnej tajemnicy? Proboszcz uprzedził mię, że zanim przybyłeś do Mondragon, miałeś bliższe stosunki z kobietą w Paryżu, do której on jeździł, aby ją zawiadomić, że się żenisz. Przytem dodał, że upoważnił swego przyjaciela proboszcza w Auteuil, aby nad tą biedaczką czuwał. Otóż, poszłam do Auteuil dla podziękowania proboszczowi za jego czyn szlachetny i naturalnie pytałam, co się stało z tą nieszczęśliwą dziewczyną. Powiedział mi, że umarła przed trzema miesiącami.

A kiedy milczałem Joasia odezwała się:

- Czy wiesz jaką umarła śmiercią?

— Nie.

— Otruła się!

Nie mogłem powstrzymać się od wykrzyku

— Jako otruła się?

— Tak mówili, ale wiadomem jest, że niby przypadkiem wypadła na ulicę z trzeciego piętra. Czy to był przypadek, czy samobójstwo, Bóg jeden wiedzieć raczy.

Umilkłem.

— Więc wiesz o wszystkim?

— O wszystkim.

— I przebaczasz mi?

— Ponieważ cię zaślubiłam.

— A zatem?

Ale Joasia ukłękła i zmusiła mię także do ukłęknięcia. Wtedy poważna, rozplakawszy się rzekła:

— Módlmy się za jej duszę Maurycy, bo była dobrą, kochała cię i jej to grób zbudował nam szczęście!



BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN